Świat MŁODYCH

Nr 25 | WARSZAWA 25. VII. 1949 r. | 10 zł

PISMO MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ I SZKOLNEJ

Dźwięki trąbki... za chwilę obudzi się cały obóz.
Fot. Film Polski

IGOR NEVERLY

KUBA ląduje w Bartoszycach

Już wkrótce zaczynamy drukować powieść Igora Neverly'ego pt. „Kuba ląduje w Bartoszycach".

Kuba, to chłopak, który od dzieciństwa przeżywa niezwykłe przygody.

Podczas wojny partyzantka, warszawskie powstanie, marsz na Berlin.

Po wojnie Kuba zostaje dzieckiem pułku tępiącego bandy dywersantów.

Nie ma pracy, której by nie podejmował Kuba w swym życiu.

Nie ma chyba zakątka, w którym by nie był.

Wszystkie drogi znają tego chudego chłopaka o odstających uszach.

Poznajmy go i my.

Oto fragment powieści:

„Zaczynałem już drzemać. Wtem z trawy przed namiotem, gdzie leżała wyrzucona maszynka, doszedł cichy pobrzęk. Uniosłem głowę z gumowej poduszki: ktoś tam trącił „Primus" — człowiek czy pies? Ale noc była cicha — słyszało się tylko miarowy oddech jeziora. „Widocznie pies trącił i pobiegł dalej", — pomyślałem, kładąc z powrotem głowę na poduszkę, i w tejże chwili poczułem, że leżące obok wiosła wyślizgują się z namiotu.

Wyjrzałem przez szparę na łąkę. Biała kłębiasta mgła nasiąkła mrokiem, ale od tego noc nie zjaśniała, ani mgła nie zczerniała — istniały obok siebie: gęsta mgła i czarna noc. Tuż przed namiotem, o dwa kroki od wejścia, ktoś leżał na trawie, ciągnąc wiosła do siebie.

Wysadziłem koniec trzonka ciupagi i błysnąłem reflektorem.

— Ręce do góry, bo strzelam!

Głos mam okropny — nie do wytrzymania na krótką odległość. Figurka, rozpłaszczona przede mną, podskoczyła w górę, wyrzucając ręce jak patyczki.

Rozpiąłem zupełnie wejście i wychyliłem się z namiotu, oświetlając jeńca. Z podniesionymi rękoma stał chłopak bez czapki, uszasty, zamorzony, aż mi się wstyd zrobiło, że taką mizerotę wziąłem za bandziora.

— To taki z ciebie mechanik?! — krzyczałem. — Podróżnych po nocy wiosłami sztur chasz, gawronie jeden! Nie mogłeś namiotu rozpruć żyletką? Szanowałbyś przynajmniej cudzy sen, zabierając rzeczy...

— Ja nie chciałem rzeczy... Ja tylko po kajak i wiosła.

— A po co ci kajak?

— Do Gdyni...

— Na marynarza?

— Nie. Na okręt, do Meksyku.

— A rodzice?

— Nie mam rodziców. Nikogo z rodziny nie zostało. Tylko stryj mieszka w Meksyku.

Chłopak miał głos zachrypnięty. Nie okazywał ani lęku, ani zdziwienia. Mrużąc oczy przed blaskiem reflektora, odpowiadał obojętnie.

— Czy mogę już spuścić ręce?

— Możesz. Jak się nazywasz?

— Kuba.

— Ile masz lat?

— Piętnaście.

— Z Rucian czy z Piszu?

— Nie, ja z Warszawy. Zarobiłem tu trochę pieniędzy, ale ukradli. Nie mam już na bilet do Gdyni.

— W Gdyni ja będę, mógłbym cię zawieźć. Ale nie wiem, kiedy tam będę, bo mnie się nie spieszy.

— Mnie się też, proszę pana, nie spieszy.

— No to właź do namiotu.

*

Nazajutrz przed śniadaniem pobiegł Kuba z pięćsetką po zakupy.

— Jeśli nie wróci, — rozważałem, spoglądając, jak śmiga pod górkę bosymi stopami — to stracę 500 złotych, ale uwolnię się od przygody, która może drożej kosztować.

Kuba jednak wrócił. Przyniósł mleka, jaja, chleb, miód i resztę, ile się należało.

Po śniadaniu spróbowałem go odstraszyć.

— Ty się jednak zastanów, chłopak. U mnie ciężka służba, a i ja nielekki. Uczciwie mówię: ze mną nikt nie może wytrzymać, najwyżej dzień — dwa i ucieka, dlatego sam płynę — żebyś wiedział!

— Ii, proszę pana, z Pawułą też nikt nie mógł wytrzymać. Tak bił, tak bił...

Kuba patrzy przed siebie w osłupieniu, że też można tak bić... Piskle puhacza wypadło, pamiętam, z dziupli w Białowieży. Czapką je wtedy, przechodząc, nakryłem i zaniosłem do mamy. Było jak Kuba: chude, uszaste, o nieruchomym wzroku.

— ...a ja wytrzymałem! Ja będę wiosłował do samej Gdyni, będę robił, co pan każe — wszystko! Tylko niech pan mnie w szyję nie trąca, bo mam czyraki.

Pochylił głowę i wtedy zobaczyłem trzy fioletowe wrzody wielkości orzecha. Takie same miałem w obozie. „Zła przemia na materii" — mówił dr. Wieliczański, — „Przejdzie, jeśli będą cię z domu paczkami dożywiać".

— Nie mam tego zwyczaju, żeby załogę w szyję trącać. Ale do roboty pogonię — to cię uprzedzam! Więc jak, zaciągasz się na jungę? No pamiętaj...

Pojechaliśmy na Małe Guziańskie, pod mostami kolejowym i szosowym, w sam kominiec jeziora. Ból w przegubie ustał. Zdjąłem bandaż ze skóry węgorza i nadziwić się nie mogłem dobrej radzie zielarki: co ma węgorz do zwichnięcia w stawie? No, niby ryba morska, głębinowa, może skóra na siąkła jodem czy jakąś solą... Ale węgorz znów krótko przebywa w morzu, już we wczesnym dzieciństwie uchodzi do ujścia słodkich wód, więc...? Nie wiem, zapytam znajomego lekarza..

Kuba zdjął, za moim przykładem, koszulę i wiosłował sążniście. Nie miał ani wprawy, ani siły. Ręce jak badyle, na przedramieniu dopiero zapowiedź nieszczególnych bicepsów, pierś płaska, skóra ziemista, bez podkładu tłuszczu, wprost na drobnych kościach — w ogóle chłopak słabo rozwinięty, wagi i wzrostu trzynastolatka.

— Powoli, junga, powoli... Dzień mamy przed sobą, ucz się rozkładać wysiłek na długie godziny. Spokojnie, miarowo, raz-dwa... Jedną ręką pchasz, drugą odpychasz — jak dźwignia... Na wyciągniętych rękach, na wyciągniętych! Nie zanurzaj głęboko, na trzy czwarte piórka. Mocno, równo prawą-lewą, prawą-lewą...

W numerze:

CZY BĘDZIE POGODA? DOWIESZ SIĘ ZE STR. 3.

Z ZASTĘPEM NA PRZEŁAJ POWĘDRUJESZ NA STR. 5.

O CZYM DONOSI „WRZASK" POWIE CI STR. 7.

WIELKA ANKIETA Świata Młodych

W poprzednim numerze ogłosiliśmy wielką ankietę, chcąc aby czytelnicy „Świata Młodych" wypowiedzieli się o swym piśmie.

Dziś jeszcze raz powtarzamy pytania, na które napewno odpowie nam każdy czytelnik i podajemy szczegóły dotyczące ankiety.

1. Co najpierw zaczynasz czytać w piśmie i dlaczego?

2. Czy pismo pomaga w pracy zastępu?

3. Czy wykonałeś jakąś pracę, opierając się na wskazówkach podawanych w piśmie?

4. Co ciekawi cię w gawędach Pawła, a co ci się nie podoba?

5. Czy rozumiesz wszystko w artykułach popularno naukowych Wścibinosa i HAK-a?

6. Czy podoba ci się historia obrazkowa, „Don Kichot w Polsce"?

7. Czy bierzesz udział w redagowaniu kolumny „W dwa ognie"?

8. Czy jesteś członkiem któregoś z klubów „Świata Młodych", jakie proponowałbyś nowe?

9. Czy wykorzystujesz przepisy gier, ćwiczeń i inne zamieszczone w „Sporcie Młodych"?

10. Wymień trzy najlepsze rysunki i napisz, dlaczego ci się podobały?

11. Jakie zmiany chciałbyś wprowadzić do „Świata Młodych"?

12. O jakich sprawach szkolnych należy pisać i jakie sprawy były słusznie poruszane.

13. Wymień trzy artykuły lub opowiadania najlepsze i trzy, które Ci się nie podobają.

14. Co chciałbyś znaleść w „Świecie Młodych" w przyszłym roku szkolnym?

Przy odpowiadaniu na ankietę, prosimy o następujące dane: wiek, klasę, miejscowość, zawód ojca, funkcję w harcerstwie.

Odpowiedź na każde pytanie powinna zawierać wyczerpujące przykłady artykułów, opowiadań, rysunków, z podaniem strony i numeru pisma.

Między uczestnikami ankiety zostanie rozlosowane 50 ciekawych i wartościowych książek.

Uwaga! Ostateczny termin nadsyłania odpowiedzi na ankietę upływa dnia 31 sierpnia br.

* * *

SEMION GUDZENKO *)

Przed pomnikiem

Słońce czerwone
stanęło w zenicie,
a na planecie
przed pomnikiem Puszkina
na ciepłym granicie
wygrzewają się dzieci.

Wygrzewa się dziewczę
w sukience błękitnej,
wstążeczki w warkoczach.
Cóż maluje się w jej oczach
w południe wiosenne
w centrum stolicy?

*

Śni się dziewczynce
bajka cudowna:
na zakręcie
drzewo wyrosłe
dumnie wspinając się
pośród narodu;
dom się wznosi
wyżej i wyżej —
wielopiętrowy;
gołąb ciężkawo
stąpa na dachu,
syty i hardy.
I przed jasnym
gmachem — olbrzymem
i przed lipą
stanął ogrodnik,
robotnica stanęła —
o jasnym uśmiechu,
i, ciesząc się coraz
bardziej i bardziej
porą wiosenną,
Puszkin z cokołu
zeszedł, stromego,
miał płaszcz na ramieniu.

— Dzieńdobry — powiedział, —
plemię nieznane!
dorosłym i dzieciom.
— Dzieńdobry — powiedział, —
miasto z białego kamienia,
najlepsze na świecie!

Cisza na placu.
Zamarły dzieci
na piedestale.
Przed poetą
w szarych szynelach
młodzieńcy stali.

Towarzysze,
ruszając w drogę
ich poprosili:
— pozdrówcie serdecznie
od prostych żołnierzy
kraj nasz miły.
I Puszkinowi
pokłońcie się, bracia
od garnizonu,
który daleko
pokój ochrania
w świecie, bezsennie!

z rosyjskiego przełożył
ARNOLD SŁUCKI

*) Semion Gudzenko jest jednym z najbardziej utalentowanych młodych poetów rosyjskich. Gudzenko, piewca Wielkiej Wojny Ojczyźnianej dziś wyraża w swoich wierszach patos socjalistycznego budownictwa.

Przed festiwalem

— A teraz zrobimy szesnaście taktów, co czwarty wybijanie. ...Czternaście par rozpoczyna mazura. Przy czwartym takcie „wybijanym" — zadrżała cała sala.

Twarze dziewcząt i chłopców są pokryte kroplami potu. Nic dziwnego. Tańczyli rano, przed południem, po południu, no i tańczą teraz wieczorem. Mimo zmęczenia twarze mają radosne i pełne zapału. Będą przecież występować w Budapeszcie na Światowym Festiwalu Młodzieży.

— Władek, bardziej po męsku! Chłop jesteś, a tańczysz jak panienka!

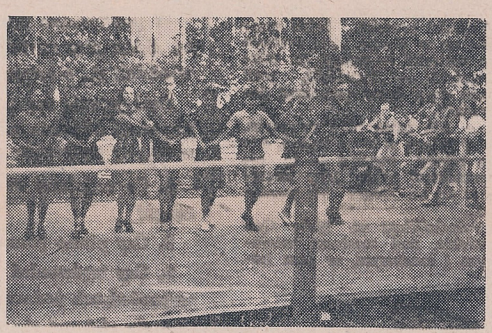

Władek, syn małorolnego gospodarza spod Rzeszowa, „wybił" aż drzazga poleciała z podłogi.

— Hanka, kij masz zamiast ręki? Zegnij ją lekko. O tak, dobrze, ślicznie.

Hanka, młoda tkaczka z Łodzi, wciąż jeszcze zapomina o tym, że w tańcu ręce są tak ważne, jak i nogi.

— Dosyć!

To dzieje się w sali „A". W sąsiedniej „B" podobnie — też tańce, tylko nie mazur, a krakowiak.

— Osiem taktów do dużego koła. Proszę!

— Krzesany!

— Galop! — komenderuje nieubłagana kierowniczka zespołu.

Żeby zająć na Festiwalu pierwsze miejsce w konkursie zespołów tanecznych — o czym marzy zespół — trzeba się ciężko napracować. Nie mniej wytrwale przygotowują się przecież delegacje festiwalowe w Pradze, Sofii, Buenos Aires, Dakarze, Pekinie, Paryżu itd. Więc żeby wszystkich prześcignąć w tym szlachetnym współzawodnictwie, trzeba ćwiczyć rano, przed południem, po południu i wieczorem.

— Jedna minuta przerwy! Wszyscy nogi do góry, cisza! Hanka, ploteczki zostaw na później — po Budapeszcie będziesz gadać! Abyście mogli dobrze tańczyć, musicie umieć odpoczywać. Inaczej — na Festiwalu nie ruszycie nogą.

— Ruszymy, ruszymy, jeszcze jak!

— No, to do roboty!

— Zaczynamy...

— Uwaga!

*

Orkiestra złożona z synów górników i hutników z Katowic ćwiczy najpierw oddzielnie. „Drzewo" — sala „F", „blacha" — żeby nie drażnić i nie denerwować otoczenia — w ogrodzie.

Teraz grają razem. Wydaje mi się, że pięknie. Ale dyrygent jest innego zdania.

— Jeszcze raz od początku...

Stuknięcie pałeczką w pulpit.

— Uwaga!

*

Nie znam się widocznie na tańcu. Kujawiak zespołu baletowego ZAMP-u z Krakowa wydał mi się wspaniały. A koleżanka Kwapiszewska — studentka Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych — znowu mówi to, co już tyle razy słyszałem na innych salach:

— Jeszcze raz, od początku.

ZAMP-owcy przygotowywali się już od maja. Ćwiczyli od godziny 8 do 11.

— Prócz tańca przygotowywaliśmy także egzaminy i oczywiście wszyscy zdaliśmy je, — mówi mi kolega Włodzimierz K. — student chemii.

*

Na obozie przygotowawczym naszej delegacji festiwalowej jest również 60 harcerek i harcerzy.

Czy oni także słyszą co chwila: „uwaga, zaczynamy", lub „jeszcze raz od początku"?

Tak!

Chór umie już pięknie śpiewać 28 pieśni, a zespół taneczny dobrze tańczy krakowiaka i jeszcze coś, ale „Dziadzio" (druh Łętowski) nie chciał mi zdradzić co.

Prócz tego harcerze wezmą udział w wielkim widowisku przygotowywanym przez całą delegację.

*

Wielki plac przez budynkiem.

Stół. Na stole krzesło. Na krześle profesor Rybicki. Czy profesor prowadzi wykład? Nie. Dyryguje. Chór stanowią wszyscy członkowie delegacji. Razem trzysta osób.

— Koleżanki i koledzy! Mamy śpiewać tak, jakby nas było kilka osób — to znaczy równo i harmonijnie. Jeszcze raz: „Pieśń o braterstwie"!

Cóż znaczy kolor twarzy?
Cóż znaczy inny strój?
Brat jesteś i towarzysz,
Bo wspólny jest nasz bój.
To nieważne czyś czarny, czy biały,
Jedna klasa to, jeden lud.
Wspólnie z nami krocz śmiało,
Bo połączył nas wspólny trud.
Utrudzoną od młota i radła
Rękę bratu niech poda brat.
Na braterstwa kowadłach
Wykujemy słoneczny świat.

ADOLF POPŁAWSKI

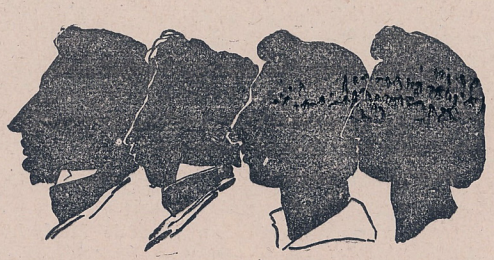

Cztery daty zbiegły się w tym roku. Cztery rocznice. 150-lecie urodzin jednego z największych poetów polskich Adama Mickiewicza, i największego poety rosyjskiego Aleksandra Puszkina, 100-lecie śmierci drugiego wieszcza polskiego Juliusza Słowackiego i największego polskiego muzyka Fryderyka Chopina.

Wieczorem w dniach 21, 22, 23, i 24 bm. zostanie wykonane w Warszawie nad Wisłą wielkie widowisko oparte na motywach twórczości Mickiewicza, Puszkina, Słowackiego i Chopina.

„Noc 4 wieszczów" bo taką nazwę nosi ta ciekawa impreza kulturalna ma na celu zapoznanie jak najszerszych mas z twórczością i życiem wieszczów oraz pokazanie jak urzeczywistniły się ich dążenia.

Przygotowania do festiwalu

Młodzież szwajcarska, holenderska i francuska przygotowuje się do wzięcia udziału w wielkiej festiwalowej sztafecie, której trasa biegnie do Budapesztu przez Francję, Włochy i Austrię. We wszystkich miejscowościach, przez które przebiegać będzie sztafeta, odbędą się manifestacje młodzieży pod hasłem walki o pokój.

*

Z Trondheim (Norwegia) 4 lipca wyruszyła już sztafeta „północna", której trasa biegnie do Budapesztu przez Szwecję, Danię, Niemcy i Czechosłowację.

*

Demokratyczna młodzież niemiecka dla uczczenia Festiwalu przystąpiła do współzawodnictwa pracy, które odbywa się pod hasłem: „Budujemy pociąg pokoju do Budapesztu". Delegacja niemiecka pojedzie więc na festiwal specjalnym pociągiem zbudowanym przez młodzież.

*

Delegacja młodzieży chińskiej składać się będzie z 116 osób. W skład jej wejdzie zespół muzyczny, taneczny oraz ekipa sportowa.

*

Delegacja młodzieży amerykańskiej liczyć będzie 125 osób. Składać się ona będzie z młodzieży robotniczej i studenckiej. Obecnie młodzież amerykańska przygotowuje na festiwal wielką wystawę fotograficzną, obrazującą życie, warunki pracy i nauki młodzieży w Stanach Zjednoczonych.

*

Młodzi Murzyni z francuskiej Afryki Zachodniej wystąpią na festiwalu z bogatym programem artystycznym. Wezmą oni również udział w ŚWIATOWEJ WYSTAWIE MŁODZIEŻY, która będzie zorganizowana w Budapeszcie.

Czy będzie POGODA?

JAK myślisz Janek, będzie jutro pogoda?
— Albo tak, albo nie.
— Z pewnością, ale ja chciałbym właśnie wiedzieć, czy tak, czy nie. Może zajrzymy do komunikatu PIHM-u?
— Zajrzeć możemy, ale właściwie... co to jest PIHM?
— To ty jeszcze nie wiesz?
— Nie rób ze mnie durnia. Ten PIHM to może przepowiada pogodę?
— Jakbyś zgadł.
— Znowu się wygłupiasz. Pogody nie można przepowiedzieć. Pogodą nie rządzą żadne prawa. Dziś jest słońce, jutro deszcz — z góry nic wiedzieć nie można.
— Taki pewny?

×

Są wiatry takie, że wyrywają drzewa z korzeniami, są i takie, że ledwie poruszają liśćmi. Aby je można było dokładnie porównywać, ustalono skalę wiatrów. Każdemu numerowi (rysunki powyżej) odpowiada pewna szybkość wiatru — no i oczywiście pewne skutki — począwszy od pochylenia smugi dymu, a skończywszy na zniszczeniu domu.

O GODZINIE szóstej rano w małym domku gdzieś daleko na północy Syberii, obudził się człowiek. Wstał, umył się, zjadł śniadanie i wyszedł przed dom. Najpierw podszedł do termometru i zanotował temperaturę, następnie rozejrzał się wokoło. Pogoda była mglista, nisko nad ziemią ciągnęły się chmury, chwilami prószył śnieg. Człowiek zanotował — całe niebo zajęte chmurami, widać sosnę odległą o 50 metrów, pada śnieg.

Następnie podszedł i popatrzał na chorągiewkę, wskazującą kierunek wiatru. Wiał słaby wiatr z zachodu. I to też zostało zanotowane.

W chwilę później w notesie zjawiły się odczytane na barometrze i hygrometrze liczby — ciśnienie i wilgotność powietrza.

Była już godzina siódma.

W tym samym momencie na całej kuli ziemskiej dziesiątki tysięcy ludzi uczyniło to samo. Na Syberii, w Polsce, w Rumunii, Anglii, Ukrainie, Francji — w tysiącach miejsc w każdym z krajów tysiące ludzi zanotowało o godzinie siódmej rano kierunek wiatru, zachmurzenie, temperaturę, wilgotność i ciśnienie powietrza.

W pięć minut później wszyscy ci ludzie usiedli przy aparatach telegraficznych czy telefonicznych i zaczęli nadawać. Nasz człowiek z Syberii nadał do Moskwy: 2804, 85962, 88729 16202...

To oznacza: 28 kwietnia, stacja 859, niski pułap chmur, niskie strzępiaste chmury złej pogody, śnieg lub śnieg z deszczem — i tak dalej cały opis pogody, jaka o godzinie siódmej rano była na stacji 859.

W tym samym czasie w Instytutach Meteorologicznych w Warszawie, Londynie, Moskwie, Paryżu i wielu innych miastach przyjmowano telegramy od wszystkich obserwatorów. Liczby, liczby, liczby... Te liczby to opis pogody, jaka o godzinie 7 rano była na całym świecie.

Teraz należy liczby te z powrotem „przetłumaczyć" na opis pogody. Ale to robi się już inaczej. Nie wypisuje się poszczególnych kartek, lecz wszystkie komunikaty od wszystkich obserwatorów zaznacza się umownymi skrótami na mapie.

Jest już godzina dziewiąta. Mapy gotowe. Wystarczy na nie spojrzeć, aby wiedzieć jakie ciśnienie, jaka temperatura, chmury i wiatr są w każdej miejscowości w Europie. Ale cóż nam z tego. My przecież chcemy wiedzieć co innego — my chcemy wiedzieć, jaka pogoda będzie jutro!

I tutaj dzieje się rzecz najdziwniejsza. Z tego, jaka pogoda jest dzisiaj, jaka była wczoraj, przedwczoraj — wnioskujemy, jaka będzie jutro! Są bowiem prawa, które rządzą wiatrami, deszczem i chmurami!

Jeżeli w jednym miejscu powietrze znajduje się pod większym ciśnieniem, a obok pod mniejszym, to oczywiście powstanie wiatr. Masy powietrza będą „uciekać" z obszaru znajdującego się pod większym ciśnieniem. Jeżeli różnica ciśnień jest duża — to wiatr będzie szybki, jeżeli mała — to powolny.

To jest prawo pierwsze.

Jeżeli prąd ciepłego powietrza spotka się z prądem zimnym, to w miejscu spotkania będzie padał deszcz. Gdy bowiem ciepłe powietrze ostyga, to skrapla się znajdująca w nim para wodna.

To jest prawo drugie.

Takich praw rządzących ruchem mas powietrza jest wiele.

Spójrzmy teraz na mapę. Tę samą, o której pięć minut temu sądziliśmy, że wskazuje tylko pogodę dzisiejszą. Już rozumiemy, że można odczytać z niej **także wskazówki na jutro.**

W Warszawie było dziś duże ciśnienie powietrza. W Krakowie małe. W Warszawie temperatura była wysoka — w Krakowie niższa. Mając odpowiednie cyfry, możemy obliczyć w jakim kierunku i z jaką szybkością będzie się przesuwać masa ciepłego powietrza z Warszawy. Możemy także obliczyć, w jakim miejscu spotka się ono z zimnym powietrzem krakowskim. A więc wiemy, gdzie i kiedy jutro będzie padał deszcz i jakie będą wiały wiatry. Pozostaje tylko zredagować komunikat i podać go do radia i gazet.

×

CZY już rozumiesz Janku, jak przepowiadamy pogodę?

— Zdaje się, że tak. Ale nie rozumiem, po co się to wszystko robi. Ostatecznie, najgorsze, co mi może grozić, gdy nie będę znał prognozy pogody na jutro, to to, że niespodziewanie zmoczy mnie deszcz. Ale to jeszcze nie jest najgorsze. Aby zapobiec takim wypadkom nie warto zatrudniać tylu ludzi...

— To ty myślisz, że cały olbrzymi aparat służby meteorologicznej jest tylko po to, żebyś ty przypadkiem nie złapał kataru?

— A co oni mogą jeszcze robić?

×

Kilka lat przed wojną w Polsce wydarzyła się wielka powódź. Przez dłuższy czas padały deszcze w górach, potoczki zamieniły się w wielkie rzeki — a Wisła zniszczyła wszystkie wsie nadrzeczne. Powódź spowodowała olbrzymie straty; długi czas odbudowywano zerwane mosty i tamy.

Czy nie można było uniknąć tych wielkich klęsk? Oczywiście, budując olbrzymie tamy zapobiega się powodziom. Ale to wymaga wiele czasu i pieniędzy. Można jednak złagodzić skutki powodzi inaczej. Mianowicie, Państwowy Instytut Hydro-Meteorologiczny (PIHM) utrzymuje specjalną służbę hydrologiczną, tzn. zajmującą się badaniem wód — rzek, morza. Nadesłane w odpowiednim czasie zawiadomienie obserwatorów górskich PIHM-u o przyborze wody w rzekach, pozwala na zorganizowanie służby ratowniczej, ewakuowanie wsi nadrzecznych itp.

Tak wygląda tornado. Olbrzymi wir powietrzny, sięgający od ziemi aż do chmur zmiata i niszczy wszystko, co napotka na drodze.

W 1945 r. w górach Azji Środkowej leżało wiele śniegu. Jednocześnie przepowiadano wielkie upały w lecie. Meteorologowie zrozumieli — grozi powódź. Natychmiast zawiadomiono wszystkie zagrożone okolice. Gdy nadeszła powódź, straty były minimalne.

Czy wiecie, ile samolotów zginęło na skutek mgły lub niespodziewanej burzy? Obecnie lotnik nie wystartuje, jeżeli nie posiada szczegółowej prognozy pogody. A skąd ta prognoza? Oczywiście, od służby meteorologicznej.

W czasie wojny w armii radzieckiej był specjalny pułk dalekiego zwiadu pogody, a przy sztabach znajdowali się specjalni oficerowie - meteorologowie. Po co?

Jeżeli przygotowuje się ofensywę, należy wiedzieć, czy niebo będzie pochmurne, czy nie — od tego zależy bowiem działalność lotnictwa. Trzeba także wiedzieć, czy będzie padać deszcz — bo od tego zależy, które drogi będą się nadawać do użytku. Trzeba wiedzieć, kiedy rzeka zamarznie, a kiedy odmarznie, czy będzie powódź, czy nie. Trzeba mieć jak najdokładniejsze prognozy pogody. I dlatego w armii radzieckiej była tak szeroko rozbudowana służba meteorologiczna. Dzięki niej zaoszczędzono życie wielu ludzi, dzięki niej wygrano wiele bitew.

×

Niegdyś ludziom zdawało się, że nigdy nie opanujemy pogody. Dziś umiemy przepowiadać ją. Jutro, nauczymy się, jak ją zmieniać.

Na pewno.

HAK

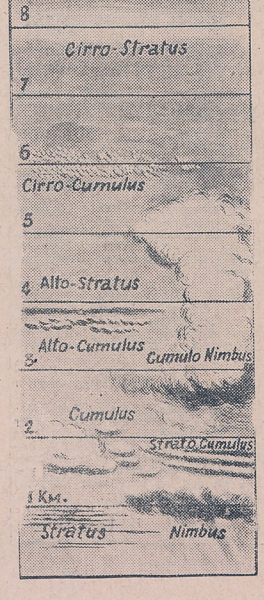

Zdjęcie to przedstawia tzw. mapkę synoptyczną. Linie łączą obszary o jednakowym ciśnieniu, nazywamy je izobarami. Litery „N" i „W" oznaczają odpowiednio niże i wyże barometryczne, to znaczy miejsca o niskim i wysokim ciśnieniu.
Taką mapkę PIHM wydaje codziennie. Możemy z niej w bardzo wielkim przybliżeniu określić, jaka jutro będzie pogoda. Opracowanie dokładnej prognozy wymaga jeszcze bardzo wielu badań.
(Zdjęcie niniejsze zawdzięczamy uprzejmości PIHM-u.)

Patrząc z ziemi wydaje się nam, że wszystkie chmury znajdują się na tej samej wysokości. W rzeczywistości jednak są one rozłożone na najróżniejszych poziomach. Ten rozkład widzimy na rysunku obok.

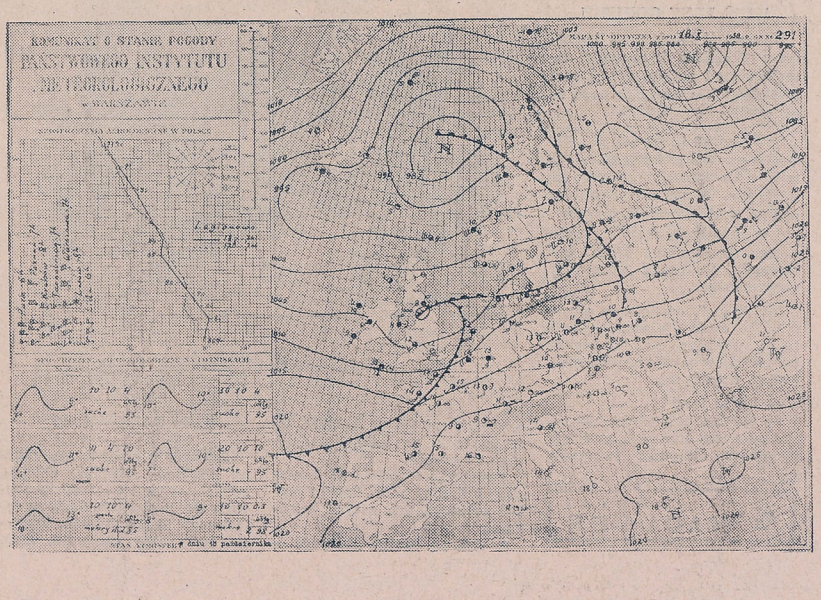

POWIŚLE OBOZUJE NAD MORZEM

PRZYJECHAŁY w pierwszych dniach lipca do Jarosławic, w powiecie Sławno (woj. szczecińskie). Ulokowały się w samym lesie 200 m od morza.

Z tym lokowaniem nie było zresztą wcale tak łatwo; nie było desek, ani żerdzi a deszcz lał, jak z cebra. Ale dziewczęta z warszawskiego hufca — Powiśle zabrały się od razu do roboty. Z początku nie bardzo im szła praca pionierska, bo większość pierwszy raz przyjechała na obóz. Ale potem zaproponował ktoś współzawodnictwo — który obóz urządzi się najszybciej i najlepiej. W pięciu punktach lasu wyrosły grupki namiotów. I wiecie kto był pierwszy? Te najmniejsze z trzeciego podobozu. Tylko prycze nie bardzo im się udały.

Trudno było na początku. Oczyszczały przecież studnie własnymi rękami, ścinały drzewa na stoły, ławki i wieszaki. Stasia nawet chciała wracać do domu. (na szczęście tylko ona jedna).

Po trzech dniach pobytu, gdy już we wszystkich drużynach powiewały na masztach flagi, nastąpiło uroczyste otwarcie obozu i wewnętrzne ognisko całej grupy. Nazajutrz od rana przystąpiły do pracy dla środowiska. I tutaj nie wiadomo o czym mówić najpierw. Druhna Ala podpowiadała mi, że o dziecińcu, a druhna Lusia mówi, aby zacząć od świetlicy. Wiadomo, że „każda liszka swój ogonek chwali". Muszą się jednak wszystkie uzbroić w cierpliwość, bo zacznę od wydm.

Co dzień rano połowa grupy wyrusza w kostiumach kąpielowych na wybrzeże. Prócz opalania i przyjemnej kąpieli morskiej jest tu bardzo poważne zadanie do wykonania: umacnianie wydm nadmorskich.

Gwizdek! Druhna Stefa dzieli wszystkich na cztery grupy. Najstarsze z saperkami plantują ostre grzbiety wydm, by wiatr nie mógł ich podrywać. Mniejsze budują z trzciny szachownicę. Inne wreszcie znoszą chrust, z którego potem będzie się robić zapory.

— Uwaga! Uwaga! I my wprowadzamy współzawodnictwo! — woła Lucyna. Kto zbierze więcej chrustu? Kto zrówna dłuższy odcinek?! Grupa Danki ma ambicję przodowania. Muszą koniecznie zrównać 100 m. Nie mało roboty dla czterech dziewcząt! Stefa gwiżdże. Koniec roboty!

— Druhno, prosimy o zwolnienie. Nam jeszcze brak kilka metrów — melduje Danka.

W nagrodę komendantka robi im zdjęcie.

A tam na plaży gwar, jak w ulu. Zbiegły się przecież w oznaczonej godzinie i te, co pomagały w dziecińcu, i te, co urządzały świetlicę dla miejscowej młodzieży, i te z punktu sanitarnego prowadzonego przez lekarza. Brak tylko służbowych. Muszą wykończyć obiad dla zgłodniałej rzeszy.

— Druhno, tu nad morzem jest bardzo przyjemna robota. Opalę się przynajmniej, jak murzyn — woła Bogda Laskowska, wyróżniona niedawno w rozkazie hufca za wzorowy stosunek do pracy.

— I w dziecińcu jest wesoło — śmieje się jedenastoletnia Wiera, która sama sięga mi zaledwie do pasa, a już ma poważną funkcję opiekunki.

Po obiedzie i czasie wolnym od zajęć, w obozie znów ruch. „Jedynka" uczy się poloneza na ognisko. „Trójka" przygotowuje przedstawienie dla dzieci. Już było kilka ognisk dla ludności na temat: „Piękna nasza Polska cała", „Grunwald" i „Bracia z całego świata". A w sali Domu Dziecka jedna z drużyn odegrała bardzo ładną bajkę „Cztery mile za piec".

Myślicie, że to już wszystko? Gdzie tam? Mówiły mi te najmłodsze z drużyny Słonecznej, że urządzą także przedstawienie z dziećmi wiejskimi. To będzie zaraz po przekazaniu świetlicy. Życzę, aby im się wszystko udało, bo lotnicy obiecali, że w nagrodę przewiozą wyróżnioną grupę samolotem, a mary narze chcą zabrać ją na wycieczkę kutrem.

Na boisku grają w siatkówkę. Za lasem szumi morze. Przez podniesione ściany namiotów zagląda słońce.

Praca i radość! Oto hasło obozu hufca Powiśle.

BARBARA TRYFAN

ĆMIŃSK DLA OBOZU—OBÓZ DLA ĆMIŃSKA

— Co was boli?

— Żołądek.

— Dawno cierpicie na to?

— O — stary gospodarz machnął ręką — już od wiosny.

Student medycyny — instruktor sanitarny obozu — kiwa głową. Nic dziwnego. W Ćmińsku nie ma lekarza. Najbliższy jest dopiero o kilkanaście kilometrów stąd, w Kielcach.

W ambulatorium obozu krząta się pod kierunkiem instruktora cały sztab sanitarny w harcerskich mundurach. Jedni dają lekarstwa, inni robią opatrunki swym „pacjentom". Pacjentów nie brak. Dowiedzieli się o ambulatorium, nie wiadomo skąd, zaraz po przyjeździe harcerzy.

— Moja córka chora. Leży w łóżku. Nie wiem, co jej jest — mówi jakaś kobieta z pobliskiej wsi.

— Zaraz zobaczymy — decyduje harcerz-medyk. Bierze ze sobą podręczną apteczkę i wyrusza za gospodynią w stronę jej chałupy.

WIEŚ PRZY OGNISKU

Znajomość miejscowej ludności z gliwickimi harcerzami zaczęła się od zastrzyków, kropel i bandaży. Nic więc dziwnego, że na wieść:

— Harcerze robią dziś dla nas ognisko — już godzinę przed rozpoczęciem ogniska schodzą się widzowie. A więc wyrostki w przykrótkich portkach, gospodynie w chustkach, sędziwi gospodarze, dziewczyny, które dziś wcześniej skończyły pracę przy gospodarstwie.

Na „scenę", oświetloną prawdziwym ogniem zamiast reflektorów wchodzą... książki (harcerze ubrani w tekturowe okładki). Ludzie trącają się.

— Co to jest?

Po krótkiej komedyjce, wystawionej przez trzynasto, czternastoletnich chłopców zaczynają rozumieć. Janek nie dbał o książki. Książki na niego pogniewały się.

— W środy i w niedziele w świetlicy wypożyczamy wszystkim książki — ogłasza jeden z drużynowych.

CAŁY ĆMIŃSK CZYTA

W kilkunastu namiotach gliwickich drużyn wre robota. Na pryczach roi się od książek. Okłada się je, uzupełnia, kompletuje, numeruje.

Nadchodzi niedziela. W harcerskiej świetlicy pełno ludzi. Przyszli zobaczyć, jak z tymi książkami.

— Ano są. Można pożyczyć — kiwa głową gospodarz z Ćmińska.

Biorą do rąk — z namysłem — jeden tom... drugi... Czytają wolno i z powagą tytuły.

Na drugi dzień Małgosia, pasąca krowy nie gapi się już na niebo, tylko przewraca kartkę za kartką. Jej sąsiad Franek nie ma czasu na latanie po wsi, czyta.

Z KRONIKI OBOZOWEJ...

400 ZAMIAST 350

„Idziemy wiejską drogą. Trudno spotkać jakiegoś chłopca, gdyż praży słońce i wszyscy chowają się w chatach, bądź są zajęci przy pracy w polu. Wreszcie spotykamy chłopaka, może dwunastoletniego. Podchodzimy i pytamy, czy nie chciałby należeć do harcerzy, gdyż tutejszy obóz organizuje miejscową drużynę. Chłopak z początku mruknął coś, że nie ma czasu, że... Wyjaśniamy mu: to przecież nie zajmuje więcej ,niż parę godzin tygodniowo. Obiecał przyjść. Następnego spotkanego chłopca poprosiliśmy, aby zaprowadził nas do kolegów. W ciągu dwóch godzin zwiedziliśmy dwie okoliczne wioski. Znaleźliśmy kilkunastu kandydatów". — Oto kronika Wojtka Badiana, który jest pierwszy raz na obozie.

Chłopcy ze wsi nie tylko obiecali. Przyszli naprawdę. Stanęli nieśmiało przed namiotami.

— Wejdźcie do środka. Siadajcie — zaprasza drużynowy.

Potem zaczyna im tłumaczyć, co to jest harcerstwo. Opowiada o obozie. Wreszcie kończy:

— Chodźmy teraz grać w piłkę.

*

— Mamo, posłuchaj — mówi Janek po powrocie do chałupy i zaczyna śpiewać: „Z piosenką idzie wesoła drużyna"...

— A skąd to znasz?

— Nauczyli nas w obozie. Będę teraz należał do harcerzy.

Na początku lipca było w Ćmińsku 350 harcerzy. Pod koniec będzie ich prawie 400. Tych 50-ciu, to nowi harcerze ze wsi.

ĆMIŃSKI TEATR

Przed namiotami najstarszej drużyny gliwickiej harcerze szybko zbijają drewniane ramy. Napinają na nie znalezione w magazynie stare worki. Worki się pofarbuje i będzie bardzo ładna scena dla kukiełek. Jacek Neugebauer, który „ma czucie w ręku", jak powiedział drużynowy, lepi z gliny twarze kukiełek. Aktorów - lalki ubierze się w kolorowe szmatki, które zebrano wśród wiejskich gospodyń.

— W niedzielę w świetlicy jakiści kukłowy teatr — idzie znów wieść od chałupy do chałupy.

PRZYJAŹŃ Z LASEM

— Hej! Hej! — rozlega się echo między pniami sosen. — Ile macie sówek choinówek.

— Dużo!

Harcerze pochylają się nad ściółką. Wygrzebują szkodniki. Teraz właśnie — w lipcu każda z gąsienic objadliwy się igłami sosen zamieniła się w poczwarkę i niedługo wyfrunie w las jako ćma.

Gajowy, który zawsze prowadzi harcerzy na te wyprawy, uśmiecha się. Mietek oczekuje z niecierpliwością pierwszej ćmy, aby wziąć ją do kolekcji szkodników.

*

Każda z siedmiu drużyn gliwickiego hufca ma jakąś szczególną funkcję. Ta zajmuje się sprawami kultury i oświaty, tamta walką ze szkodnikami, jeszcze inna organizowaniem wiejskiej drużyny. Nowy program obozów od razu ruszył z miejsca. Podobał się wszystkim. I harcerzom i miejscowej ludności.

MIRON BIAŁOSZEWSKI

Do Redakcji „Świata Młodych"

Rozumiejąc w pełni ogromne znaczenie święta 22 lipca dla Polski Ludowej, Grupa obozów Harcerzy Hufca „Grochów" obozująca w Głębokim, pow. Krosno n-O podejmuje jako czyn lipcowy:

1. Współudział w zorganizowaniu Ludowego Związku Sportowego w Bytnicy.
2. Urządzenie boiska sportowego dla L.Z.S. w Bytnicy.
3. Podniesienie stanu higienicznego wsi przez reorganizację Ośrodka Zdrowia, oraz patrole sanitarne.
4. Dodatkowy wkład w walkę ze stonką ziemniaczaną przy udziale całej Grupy o łącznej ilości 800 harcerzogodzin.
5. Zorganizowanie świetlicy dla miejscowego Koła ZMP w Bytnicy.

C z u w a j !
Rada Grupy Obozów

Obóz Hufca Harcerzy Łódź Bałuty w Barlinku w ramach czynu lipcowego, deklaruje osiemset harcerzo - godzin pracy przy odgruzowaniu miasta. obok normalnych prac dla środowiska, jak: praca na roli, w szkółkach leśnych i przy budowie boiska.

C z u w a j !
Komenda Obozu.

NA PRZEŁAJ

NAPEWNO nieraz na wycieczce przyda wam się umiejętność sporządzania szkiców polowych. Umiejętność ta pozwala na szybkie, dokładne i trwałe przekazywanie wiadomości o terenie, potrzebnych przy urządzaniu wycieczek, gier, biwaków itp.

Ale jedynym warunkiem tego jest dobre a przynajmniej dostateczne poznanie, w jaki sposób szkice należy sporządzać.

Z artykułu zamieszczonego w nr 21 „Świata Młodych" wiemy, że teren można przedstawić w planie. W planie nierówności terenu oraz przedmioty terenowe przedstawione są na ogół tak, jakbyśmy je widzieli z góry np. z samolotu. Będzie to **szkic topograficzny.**

Szkic zastępuje brakom mapy i planów przez to, że przedstawia pewien niewielki, lecz ważny dla nas odcinek terenu w podziałce bardzo dużej.

Szkic topograficzny możemy wykonać w terenie całkowicie lub też tylko uwzględnić, wysowując szczegóły terenu w powiększony odcinek mapy.

Rozróżniamy wiele rodzajów szkiców. Na wycieczkach potrzebne nam będą tylko najprostsze. A więc: szkic na oko, marszowy i sposobem wcięć.

Dając wskazówki nie wątpię, że znacie już znaki topograficzne. Jeśli nie, to poproście następowego, aby podał wam kilka najczęściej używanych.

Do robienia szkiców potrzebne nam będą następujące rzeczy: 1) busola albo kompas, 2) teczka lub twarda tektura, 3) linijka (z podziałką milimetrową) najlepiej przeźroczysta z celuloidu, 4) ołówek (3 H), 5) gumka, 6) papier 7) szpilka.

Busola i kompas służą nam do oznaczenia stron świata, teczka lub tektura będzie podstawą, na której położymy papier, szpilką będziemy nakłuwać na papierze punkty (przed rysowaniem). Teraz możemy już zabrać się do robienia szkiców.

SZKIC „NA OKO"

JEŚLI nie zależy nam na wielkiej dokładności, a zależy na czasie, robimy szkic „na oko". Ten, kto robi szkic musi być dobrze wyszkolony w ocenie odległości. Szkic wykonujemy w następujący sposób: Obieramy sobie na papierze punkt tak, aby interesujący nas teren zmieścił się całkowicie. Ten punkt (nazwijmy go x) będzie oznaczał miejsce, gdzie się znajdujemy. Następnie zorientowawszy papier według kierunku Płn. (północ), Płd. (południe (pamiętajcie, że północ musi być u góry kartki) ustawiamy linijkę tak, aby jeden jej koniec dotykał do zaznaczonego punktu. Teraz celujemy linijką w interesujący nas punkt terenowy (np. drzewo lub dom) i kreślimy wzdłuż miarki cieniutką linię. Powtarzamy to tyle razy, ile chcemy zanieść na papier punktów terenowych.

Pamiętajcie, aby przy tym nie zmieniać położenia papieru! Mając już wszystkie linie narysowane (każda oznacza jeden punkt!) odmierzamy proporcjonalnie według ustalonej podziałki. Znaczy to, że jeśli odległość od punktu x do wiatraka według naszych obliczeń „na oko" jest 500 m to stosując podziałkę 1:10.000 na linii narysujemy znak topograficzny, oznaczając wiatrak 5 cm od tego punktu. Zrozumiałe? Sądzę, że tak.

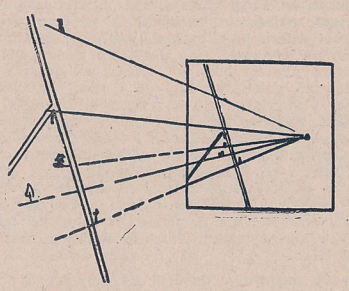

Tak wygląda szkic w pierwszej części jego sporządzania.

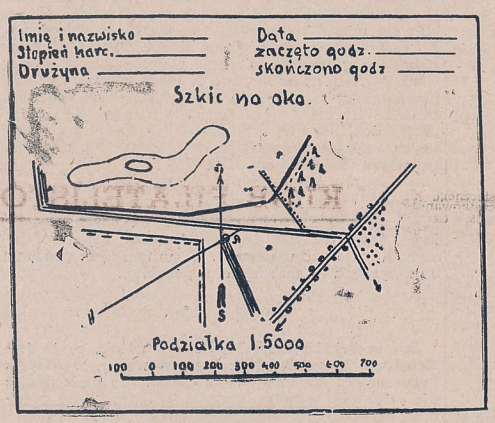

A tak w drugiej (wykończonej).

SZKIC MARSZOWY ZWYKŁY

SZKIC marszowy zwykły wykonujemy następująco: po przygotowaniu papieru jak poprzednio, po wykreśleniu podziałki (tym razem krokowej, tzn. że 1 cm oznacza np. 100 lub więcej kroków), po zaznaczeniu kierunku Płn. Płd. znaczymy punkt wyjściowy na końcu arkusza. Przykładając linijkę do punktu, celujemy na najbliższy zakręt lub skrzyżowanie drogi, uważając aby kierunek Płn. — Płd. zaznaczony na papierze, zgodny był z kierunkiem Płn. — Płd. na kompasie. Po wycelowaniu, nie ruszając linijki, wykreślamy kierunek i odmierzywszy krokami odległość, nanosimy ją w podziałce na papier.

Przedmioty przy drodze, jak domy, mosty itp. nanosimy podczas wymierzania odległości krokami, korzystając każdorazowo ze zmierzonej odległości od punktu wyjścia.

Inne przedmioty terenowe, mające znaczenie czysto orientacyjne, nanosimy „na oko", o ile możności jak najstaranniej. Po dojściu do punktu, na który celowaliśmy, przyjmujemy go za stanowisko nowe i postępujemy jak poprzednio.

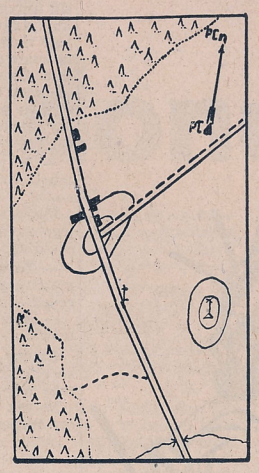

Szkic marszowy zwykły

Wszelkie odgałęzienia dróg oraz drogi odchodzące w bok od tej, której szkic sporządzamy, należy opisywać, tzn. zaznaczyć, dokąd droga prowadzi. Można tu korzystać z tablic orientacyjnych, z objaśnień przejeżdżających, ew. z mapy.

SZKIC SPOSOBEM WCIĘĆ

PO PRZYGOTOWANIU papieru, jak do poprzednich szkiców, obieramy w terenie (najlepiej na drodze lub szosie) dwa punkty, z których dokładnie widać otaczający teren. Po wymierzeniu odległości krokami (najlepiej dwukrotnie), nanosimy w podziałce na papierze linię prostą (tzw. bazę) wraz z ograniczającymi ją punktami.

Po zorientowaniu papieru wg kierunku bazy, celujemy z pierwszego punktu (stanowisko x) na wszystkie otaczające i ważne dla nas przedmioty terenowe, wykreślając jednocześnie na papierze ich kierunki cienką przerywaną linią. Dla uniknięcia pomyłek przy końcu każdej przerywanej linii notujemy, na co celowaliśmy (budynki, skrzyżowania dróg, drzewa stojące samotnie itp.). Sprawdziwszy, czy nie pozostawiliśmy w terenie czegoś, co może mieć dla nas znaczenie, przechodzimy na drugi koniec bazy (y) i tam, przykładając linijkę do drugiego punktu, celujemy na te same przedmioty. Przed tym oczywiście musimy papier zorientować przez przyłożenie linijki do bazy i zwrócenie papieru wraz z linijką na punkt początkowy. Sprawdzamy zarazem dla kontroli na kompasie, czy kierunek Płn. — Płd. pokrywa się z kierunkiem Płn. — Płd. na papierze.

Przecięcia się każdej pary linii z jednego i drugiego punktu, da nam położenie przedmiotów terenowych na papierze. Są to tak zwane wcięcia wprzód. Aby otrzymać dokładny punkt przecięcia, należy unikać kątów ostrych (mniejszych od 45°).

Przedmioty mało ważne, albo mające znaczenie tylko czysto orientacyjne, nanosimy „na oko", określając ich położenie na szkicu odpowiednio do naniesionych już przedmiotów. Przedmioty terenowe wykreślamy znakami topograficznymi.

Te trzy typy szkiców, wystarczą wam napewno na wycieczce zastępu czy drużyny. O innych — trudniejszych rodzajach szkiców jeszcze będziemy pisać w przyszłości.

ANDRZEJ WILANOWSKI

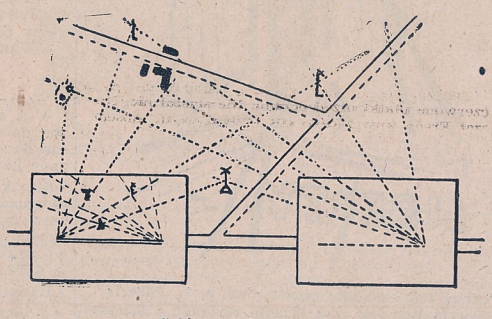

Szkic sposobem wcięć

Zwijamy już nasz obóz

Dobry obóz zależy nie tylko od przygotowania i prac prowadzonych, ale także w znacznej mierze od zorganizowania zwinięcia obozu, albowiem „koniec wieńczy dzieło". Całość prac likwidacyjnych podzielimy na trzy etapy:

1. przygotowanie zwijania obozu,

2 transport powrotny,

3. likwidacja całości prac obozowych po powrocie.

Przygotowanie do zwijania zaczynamy już na tydzień przed wyjazdem. Pierwszym sygnałem zakończenia obozu będzie rada, na której rozplanujemy całość technicznej likwidacji. Na ogół w planie takim znaleźć się muszą:

1. załatwienie spraw związanych z transportem (zamówienie wagonu, aut i furmanek).

2. likwidacja zobowiązań pieniężnych;

3. likwidacja zapasów magazynowych;

4. rozplanowanie zwijania obozu.

(Nie mówię tu o sprawach programowych, o zakończeniu podjętych prac, ogniskach pożegnalnych itp.).

Zwijanie obozu przeprowadzamy tak, abyśmy byli jak najmniej zależni od pogody. Należy się bowiem liczyć z możliwością deszczu czy burzy i z góry przeciwdziałać zamieszaniu w pracy i zniszczeniu sprzętu, o które w takich momentach łatwo. Najpierw likwidujemy wszelkie ozdobne „budowle" obozowe: bramę, jadalnię (stoły z desek lub ziemne) i umywalnie.

W czasie rozbijania stołów trzeba uważać, aby nie niszczyć desek! Obóz likwidujemy pod znakiem „O" — oszczędzania. Gwoździe wyjmujemy obcęgami i odrazu składamy do przygotowanej dużej puszki blaszanej (nie kłaść gwoździ na trawę!!! Niebezpieczeństwo dla pasącego się bydła, a także dla bosych dzieci).

Deski układamy jedna przy drugiej, w równy stos, — osobno odkładając deski dłuższe, osobno krótkie zrzynki, na inny stos paliki, których napewno dużo w budownictwie zużyliśmy.

Dalej przystępujemy do rozbijania prycz. Część chłopców wynosi sienniki poza obóz i na przewidzianym z góry terenie trzepie je i składa w kostki po 10 — 20 sienników związanych drutem (kilka sienników zostawić do pakowania sprzętu).

Przy rozbijaniu prycz trzeba uważać, aby w zapale nie uszkodzić płacht namiotów. I znów wyciągamy gwoździe, sortujemy, układamy drzewo i deski. Gdy namioty stoją już puste, możemy do jednego z nich

przenieść resztki magazynu żywnościowego oraz cały sprzęt i rozpocząć likwidowanie magazynu. Zasypujemy piwnice, rozbijamy półki i inne magazynowe „wygody". Równocześnie przystępujemy do pakowania inwentarza do skrzyń, pozostawiając na wierzchu niezbędne przedmioty i naczynia.

Dalszą czynnością jest likwidacja kuchni. Opodal obozu robimy kuchnię biwakową, na patyku, albo na kamieniach. Mimo zlikwidowania kuchni, nie zasypujemy dołu na śmiecie! Najważniejsze bowiem przykazanie przy zwijaniu obozu brzmi: „dół na śmiecie i latrynę likwiduj na samym końcu".

Nasz obóz przedstawia się teraz żałośnie: zostały jeszcze puste namioty, kuchnia na patyku, latryna i dół na śmiecie. Zaraz po ostatnim posiłku likwidujemy prowizoryczną kuchnię i pakujemy resztę sprzętu kuchennego do skrzynki. Teraz kolej na namioty. Wyciągamy z ziemi kołki. Namioty najlepiej zwijać na trawie. Rozłożone starannie zmiatamy miotłą. Musimy uważać, aby nie chodzić po płachtach w butach — najwygodniej boso. Gdy namioty są już zwinięte, zesznurowane i złożone obok skrzyń ze sprzętem (wszystkie skrzynie zabite, tylko jedna otwarta, do niej złożymy łopaty, siekiery i grabie używane do ostatecznej likwidacji obozu) — przystępujemy do maskowania terenu.

Zasypujemy wszystkie rowki, które okalały namioty, zagrabiamy ścieżki, staramy się usunąć wszelkie ślady pobytu obozu. Teraz też będzie kolej na zasypanie dołu na śmiecie i latryny.

Tak zwinęliśmy obóz.

Robota szła nam składnie, gdy była pogoda, a jeśli lał deszcz? Staramy się przede wszystkim przenieść cały sprzęt i ekwipunek chłopców do stodół i chałup. Kolejność prac będzie taka sama, z tym, że wytrzepywanie sienników robimy w jednym z namiotów. Aby nie moczyć sienników, nie rozbieramy dachu nad kuchnią, a na samym końcu zwijamy namioty. Pamiętajmy tylko, że mokre namioty, zwinięte, bardzo się niszczą i muszą być natychmiast po przyjeździe do domu suszone.

JACEK WĘGRZYNOWICZ

Poniżej zamieszczamy opowiadanie p. t. „Liberty". Autorem jego jest nasz 17-letni czytelnik z Warszawy Andrzej Lubach.

Opowiadanie Andrzeja Lubacha pokazuje tylko część prawdy. Ameryka nie jest — jak to mówi autor „Liberty" — tylko krajem kapitalistów i ciemiężonych murzynów. Większość obywateli, to robotnicy. Walczą o prawa swoje i o prawa murzynów. A tego w opowiadaniu nie ma.

„Liberty" pokazuje nam świat amerykańskich kapitalistów, dla których jedynym celem w życiu jest interes, a jedyną wartością dolar. W tym świecie żyje murzyn Jim. W czasie ostatniej wojny Jim walczył przeciw faszyzmowi. Teraz gdy jest już niepotrzebny, nie ma dla niego ani pracy, ani miejsca w Ameryce.

Dramatyczna i ciekawa akcja, która rozgrywa się między przedstawicielami kapitalizmu a Jimem, to jeden z najprawdziwszych obrazów amerykańskiej rzeczywistości.

Świat kapitalistów stworzył organizację „Ku-Klux-Klan", której celem jest prześladowanie murzynów. Rasizm. Jest w tym cel: odwrócić uwagę robotników od wyzysku kapitalistycznego.

W Budapeszcie, w sierpniu bieżącego roku odbędzie się Światowy Festiwal Młodzieży Demokratycznej. Wezmą w nim udział przedstawiciele wszystkich narodów i ras: biali, żółci i czarni. Wszyscy równi, zbratani i walczący o jeden cel. O to, aby zmienił się świat, w którym żyje Jim, aby nie było prześladowania ludzi za kolor ich skóry, aby człowiek nie wyzyskiwał człowieka.

LIBERTY.

MISTER Samuel Farrington był niezmiernie rozmowny.

— Oto ma pan przed sobą — objaśniał swemu milczącemu towarzyszowi — sławną Statuę Wolności, symbol New Yorku i panującej w Stanach złotej wolności obywatela. Statua służy jako latarnia morska, a zbudowana została w roku... w roku — tu... mister Farrington zająknął się, bo mimo specjalnie przestudiowanej książki p. t. „Przewodnik po New Yorku i okolicach", jego erudycja w tej dziedzinie była mocno wątpliwa. Ba, można powiedzieć, że mister Samuel poza Wall Street, Brodway'em i kilkudziesięciu innymi Streets i Avenues wcale nie znał New Yorku, jakkolwiek tu się urodził i wychował, tu umarł jego ojciec, zostawiając okrągłą sumę 300.000.000, którą to sumę zapobiegliwy syn powiększył prawie dwukrotnie. Zresztą nie trzeba się dziwić, bo przeciętny mieszkaniec New Yorku zna tylko swą dzielnicę. Oczywiście, są gdzieś tam takie zakazane dzielnice, jak Bronx czy ten okropny Haarlem, które „porządny" nowojorczyk wspomina ze zgrozą.

— W roku 1886 — wybrnął szczęśliwie mister Samuel. Podejdźmy bliżej i obejrzyjmy ją — zaproponował.

Mister Harlow, obojętnie spoglądał wokoło. Wzrok jego zatrzymał się na zegarze drapacza Chrysler Building.

— To wszystko bardzo ładnie, panie Farrington, ale możebyśmy się wzięli do naszych interesów — wycedził.

— Ależ o tym samym myślałem, tylko nie śmiałem mówić — ucieszył się Farrington — jedziemy!

Czarny ośmiocylindrowy Buick przejechawszy kilka ulic, zatrzymał się przed wielkim lokalem, nad którego wejściem jarzył się neonowy napis „Negresco".

No tak — przerwał milczenie pan Samuel — możemy rozpocząć naszą transakcję.

* * *

Freddy był dziś w wybitnie złym humorze. Klął kolegów, cały świat, New York, a w końcu siebie. Wszystko sprzęgło się przeciw niemu. No, a ostatecznie, czy on był winien, że mu karta nie szła i przegrał w pokera 2000 dol., które jako dług honorowy trzeba do jutra zwrócić. „Honorowy dług" to brzmiało przyjemnie, ale skąd wziąć na jutro? Swoją tygodniową pensję z licznymi naddatkami Freddy wyczerpał dawno.

Ojciec jest doprawdy okropny. Już mógłby go dopuścić do rządów. On, Fred, wiedziałby, jak pokierować majątkiem. 10.000 dolarów, królestwo za 10.000 dolarów! (zawołał Fred za Ryszardem III). Zaraz, kto to powiedział: królestwo za konia? Aleksander czy Hannibal?

Fred nie był bardzo pewny, chociaż, chodził dwa lata do szkoły i wśród swych towarzyszy był wyrocznią naukową. Mawiano o nim: ten wie wiele, niech się schowa Europa i u nas mamy wielkich ludzi. Dość, że Fred z opinią Sokratesa miał wszędzie powodzenie. Zresztą więcej znaczyło to, że spełniał trzy zasadnicze warunki, jakie powinien znać każdy dobrze wychowany milioner, a mianowicie: tańczył jak męska Terpsychora, prowadził wóz z szybkością ponad setkę i pływał, jak mistrz olimpijski. Że myślił Arystydesa z Arystotelesem, a jedyną książką jaką przeczytał z zaciekawieniem były „Przygody Sherlocka Holmesa" to nie ważne. Oczywiście wiele też robiły miliony pana Samuela.

— No tak — zakonkludował Fred, otwierając drzwiczki swego Cadillaca — forsę trzeba zdobyć. Zacznijmy od ojca.

— Jim, „Negresco"! — krzyknął.

* * *

— A zatem sprawa jest załatwiona. Jutro wyjeżdża pan do Charlestonu i namawia okolicznych plantatorów do złożenia kapitałów w akcje Dreiser & Son Company Limited.

Sam kupuje pan akcji za 20.000 dol. Następnie ja zaczynam działać. Plajta, bankructwo, akcje stają się bezwartościowe. My obaj posiadamy z tego (tu pan Samuel strknął ołówkiem w kartkę papieru) czystego zysku około 6.000.000 dol. Z tego według umowy: ja 4.000.000, a pan 2.000.000.

Harlow wycedził.

— Wszystko ładnie, panie Farrington, ale interes jest interesem. To dla mnie...

— Co? — mister Samuel aż podskoczył na krześle.

— Chcę więcej. Co pan ryzykujesz? Parę milionów. a ja dobre imię. W razie wpadki wyprzesz się pan wszystkiego. Panie Farrington, chcę trzy miliony, albo rezygnuję ze wszystkiego — powtórzył nieustępliwie Harlow.

Farrington zerwał się z miejsca.

— Za kogo mnie pan bierze?! Czyś pan zwariował? Ja mogę... — krzyczał coraz głośniej. Nagle umilkł. Drzwi otworzyły się i wszedł Fred.

— Hallo, jak się masz Daddy. Mam do ciebie wielką prośbę.

— Nie przeszkadzaj, Freddy, jestem zajęty?

— Moja sprawa nie zajmie dużo czasu.

— Siadaj i czekaj, zaraz z tobą porozmawiam.

Farrington oderwany przez syna od transakcji w jej drażliwym punkcie, rozważał wszystkie pro i contra. Namyślił się:

— Zgoda, mister Harlow, obaj weźmiemy po 3.000.000 dolarów. Południowiec wyciągnął rękę. Umowa została zawarta. Freddy na słowa „trzy miliony" ocknął się.

— Daddy, znów jestem...

— Znów jesteś bez grosza: to było do przewidzenia — powiedział nie bardzo groźnie mister Samuel. Ile ci potrzeba?

— Dwanaście... dziesięć tysięcy — zająknął się pod groźnym spojrzeniem ojca Fred.

— Ostatni raz ci daję — zamruczał mister Samuel, wydobywając książeczkę czekową. Fred wyrwał czek z rąk ojca.

— Poczekaj na mnie na dole — zawołał za nim Farrington, a następnie zwrócił się do Harlowa. — Wszystko all right! To będzie dobry interes. Co prawda, ci plantatorzy trochę źle na tym wyjdą.

— Nawet bardzo źle — brzmiała odpowiedź.

— Ale to nie nasza wina, niech się nie dają oszukiwać. Tak, tak mister Harlow — trzeba umieć żyć.

* * *

Trzeba umieć żyć. A Jim właśnie tego nie umiał. W ogóle Jim od czasu powrotu do Stanów nie wiedział, co się stało wokoło niego. Bo przed wojną było inaczej. I gdy na ulicach New Yorku pojawiły się różowe plakaty z nagłówkiem: „Obywatele, Niemcy wypowiedziały nam wojnę...", Jim poszedł, jako jeden z pierwszych, bronić swego kraju.

Przez cały czas wojny myślał o Stanach, jako o swoim kraju. Gdy alianci rozpoczęli wielką ofensywę, czołg Jima pierwszy przedarł się przez zaporowy ogień artylerii niemieckiej i wjechał do Cherbourga. Potem była mowa generała i „military Cross", (krzyż wojskowy). I Jim był szczęśliwy. Pod Cherbourgiem wraz z Haroldem zdobyli naszywki sierżanckie. Po bitwie pod Rouen uścisnął mu rękę i nazwał bratem. Harold był milionerem, ale do wojska wstąpił w stopniu szeregowca i często mówił o Lincolnie, Mc Kinkle'u i Lynchu, ale Jim nie wiele rozumiał. Mimo to czuł się szczęśliwy. Drugi raz doznał wielkiej radości, gdy w Dachau czołg jego obskoczyli jacyś wychudli ludzie w niebieskich wyblakłych pasiakach, krzycząc coś w niezrozumiałym języku. A kiedy Jim wyskoczył z czołgu, pierwszy z nich rzucił mu się na szyję, wołając słabym głosem. „Niech żyje Ameryka"!

Niemcy skapitulowały i Jim defilował swym czołgiem po Unter Den Linden i Friedrichstrasse. Ale bardzo już chciał powrócić do domu, do starej matki, do małego braciszka Jacka, od którego dostawał listy, pisane koślawymi literami i do starego Adamsa. Przyszła demobilizacja i wrócił. Gdy wysiadł z okrętu i wszedł do metra, jakaś ciężka ręka spadła mu na ramię. Odwrócił się. Za nim stał kolejarz.

— Którędy wchodzisz, czarna małpo, czy nie umiesz czytać, że tylko dla białych?

— Co? Jak? Jim w pierwszej chwili nie zrozumiał. Co on mówi. Pojął tylko wyraz „czarna małpa". I oto kolejarz znalazł się na ziemi. A po tym Jim ujrzał dookoła dziesiątki obłędnych twarzy, i dziesiątki rąk spadły na jego ciało. Nad wszystkim dominował krzyk: „Murzyn uderzył białego"! Patrol policji przy użyciu gumowych pałek wydobył go z rąk rozwścieczonego tłumu. Jim znalazł się w więzieniu. I możeby ciężko odpokutował swą zbrodnię, zbrodnię naprawdę straszną, gdyż on, murzyn uderzył białego człowieka, gdyby nie Harold Fritton. Harold dowiedział się o uwięzieniu Jima i po niesłychanych trudnościach doprowadził do zwolnienia go. Harold też znalazł dla Jima posadę szofera u Freda Farringtona, swego kolegi. Ciężki był powrót Jima do domu. Wszyscy już tam wiedzieli o jego wypadku, ale stary Buddy Adams powiedział tylko:

— My, murzyni, stworzeni jesteśmy na to, aby cierpieć, a biali — aby nami rządzić.

Ale kiedy Jim powtórzył to Haroldowi, ten sklął go okropnie i powiedział, że nie po to tyle lat tłukł się po okopach. Dobry chłop był z tego Harolda; to też Jim nie mógł odżałować go, że tak marnie skończył. Bo to w ogóle była niejasna sprawa. Pewnego rana znaleziono go martwego z kulą rewolwerową w skroni i bez portfelu. Podobno był to mord rabunkowy; tak przynajmniej twierdziły władze prowadzące śledztwo. Dość, że Harold Fritton zginął, a majątek jego objął jakiś daleki krewny; i to nawet było lepiej, bo w jakiś czas później zaczęto szeptać, że Harold był jakimś wywrotowcem czy komunistą.

(— Z takiego dobrego domu, lepiej, że nie żyje — mawiano). Harolda nie lubiano w towarzystwie — zbyt często mówił ludziom prawdę. Jedynym człowiekiem, który żałował, że Harold umarł był Jim. (Bo murzyn umie być wdzięczny. I w tym jest podobny do zwierzęcia — mawiali ci z południa).

* * *

Jim mieszkał w Haarlemie. Czy wiecie, co to jest Haarlem? To wielki obóz koncentracyjny, w którym ludzie muszą mieszkać, bo są czarni. Czy może istnieć dla człowieka większa tragedia, niż być ciągle poganianym, szczutym, widzieć tabliczki „tylko dla białych"? Jak zbity, głodny, bezpański pies, dosłownie jak pies; bo czymże różnią się te napisy od: „psów wprowadzać nie wolno?" Gorzej, niż pies, bo istnieją towarzystwa opieki nad zwierzętami. Czy może człowiek więcej upodlić siebie i drugiego? Jak może to czynić naród, który niespełna dwieście lat temu walczył o swoją wolność, gdzie w Filadelfii brzmiały słowa Jeffersona: „Uważamy za niezbite i oczywiste, że wszyscy ludzie zostali równi sobie..." Jak może naród, który wydał Washingtona i Lincolna, Jeffersona i Roosvelta ścierpieć prawo Lynch a i Ku-Klux-Klan? Jak można na to pozwolić.

* * *

Jim nie umiał znaleźć odpowiedzi na te pytania. Wiedział, jedno, że czarnym jest strasznie źle. Ale dlaczego? Stary Buddy Adams, który wiele wiedział, twier-

(Dokończenie na str. 10)

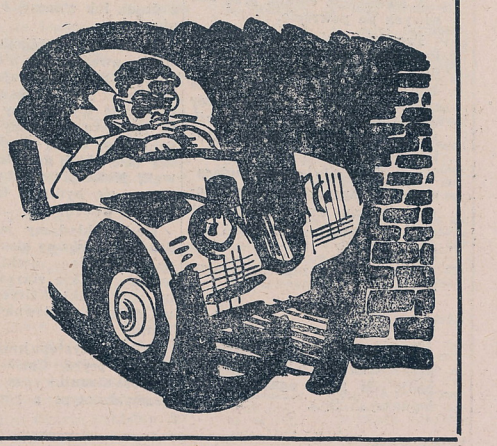

Z HISTORII HUMORU

ch. Szastu prastu

„WRZASK“ donosi

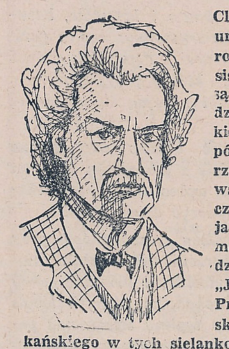

Mark Twain (Samuel Langhorne Clemens) to humorysta Ameryki, urodzony na Florydzie w 1835-ym roku zostaje marynarzem na Missisipi, poczem koleje jego losu są dość niezwykłe. Jest naprzemian dziennikarzem, wysokim urzędnikiem Stanu, mężem multimilionerki, później dzięki swojej szerokiej naturze, zrujnowany finansowo, budzi współczucie rodaków. W pamięci czytelników europejskich pozostał jako autor świetnych opowiadań humorystycznych oraz powieści młodzieżowych, jak „Przygody Hucka“, „Jankes na dworze Króla Artura“. Przytoczona przez nas jego humoreska z życia dziennikarstwa amerykańskiego w tych sielankowych dla Ameryki czasach, nabiera dziś żywych rumieńców aktualności.

Doktór zalecił mi dla zdrowia wyjazd na południe, wybrałem się więc do stanu Tennessee i zamówiłem tam sobie miejsce współredaktora we **„WRZASKU POŁUDNIOWO - AMERYKAŃSKIM“**. Gdy przyszedłem, aby objąć moje obowiązki, zastałem naczelnego redaktora skurczonego na krześle o trzech nogach, podczas gdy właśnie jego nogi spoczywały przed nim na stole. Prócz tego w pokoju stał jeszcze jeden stół i mocno nadwyrężone krzesło, ale zarówno jedno, jak i drugie uginało się pod stosami dzienników, świstków i arkuszy rękopisów. Drewniana skrzynka z piaskiem, zasypana była niedopałkami papierosów i obrzynkami cygar, a drzwiczki pieca kołysały się wdzięcznie na resztce zawiasów. Naczelny redaktor przybrany był w długi, czarny surdut i białe, płócienne „niewymowne“. Buty miał małe i pięknie wyczyszczone. Ubioru dopełniała pomięta koszula, wielki sygnet na palcu, stojący kołnierzyk archaicznego kroju i wzorzysty, luźno związany krawat. Robiło to wrażenie kostiumu z czasów około 1848 r.

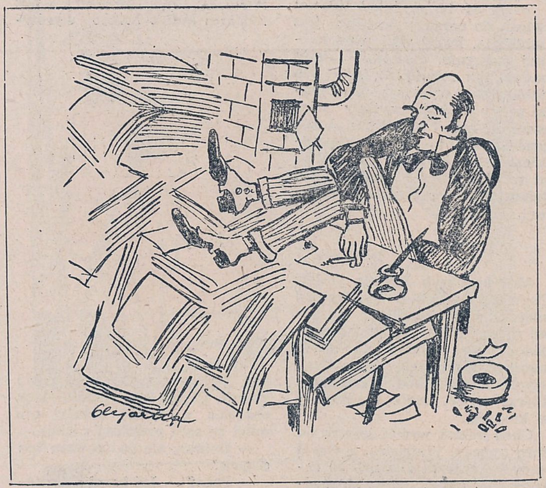

Naczelny palił cygaro, szukał w myślach jakiegoś słowa i przebierając palcami w swym uwłosieniu, zburzył sobie cokolwiek kędziory. Minę miał okrutnie złą, tak, że z łatwością odgadłem, iż fabrykuje jakiś niezwykle cięty artykuł. Mnie polecił napisanie „Przeglądu prasy tennesyjskiej“.

Napisałem co następuje:

„PRZEGLĄD PRASY TENNESYJSKIEJ“

„Wydawcy tygodnika „Trzęsienie ziemi“ widocznie rządzą się jakimś uprzedzeniem względem budującej się drogi żelaznej w Ballyhack. Towarzystwo bynajmniej nie zamierza pozostawić na boku osady Buzzardville. Przeciwnie, uważa ją za jeden z najważniejszych punktów na linii i nie ma zamiaru jej pominąć. Szanowni panowie z „Trzęsienia ziemi“ zechcą bez wątpienia umieścić to sprostowanie.

Pan Jan W. Blosson, zdolny wydawca „Pioruna i Hasła Wolności“ w Higginsville, przybył wczoraj do naszego grodu i gości w hotelu Van Buren'a.

Pozwalamy sobie zwrócić uwagę, że nasz kolega z „Wycia Porannego“ myli się, twierdząc, iż wybór Van Wertera nie jest jeszcze dokonanym, zresztą do tej chwili przekonał się zapewne o swej pomyłce. Musiały go w błąd wprowadzić niedokładne sprawozdania z wyborów.

Z przyjemnością zaznaczamy, iż miasto Blathersville usiłuje zawrzeć kontrakt z paru przedsiębiorcami nowojorskimi celem wybrukowania swych nieprzebytych ulic. „Hurra codzienne“ rozstrząsa to postanowienie z całkowitą znajomością rzeczy i wyraża najlepsze nadzieje co do szczęśliwego jego wykonania“.

Podałem artykuł mój redaktorowi, ażeby go przejrzał, poprawił lub zniszczył. Rzucił nań okiem i oblicze jego zachmurzyło się. Przebiegł po nim wzrokiem i fizjognomia jego nabrała groźnego wyrazu. Nietrudno było zauważyć, że coś mu się nie podoba. Nagle podskoczył do góry i rzekł:

— Do stu beczek piorunów! Czy pan sądzi, że w ten sposób przemawia się do tego bydła? Myślisz pan, że moi prenumeratorzy zadowolą się takim grzanym piwem? Proszę o pióro!

W życiu nie widziałem, aby pióro niegodnie skrobiąc, przebijało sobie drogę przez cudze słowa w sposób tak bezwzględny. Podczas gdy redaktor pracował, ktoś strzelił do niego przez otwarte okno i zepsuł symetrię mego ucha.

— Ach! — wykrzyknął — to ten gałgan Smith z „Wulkanu moralnego“! Powinien był się stawić wczoraj! — Wyciągnął zza pasa rewolwer i wystrzelił. Smith upadł trafiony w udo. W dodatku cios ten zmienił kierunek wystrzału Smitha, który okaleczył nieznajomego. Nieznajomym byłem ja, tylko palec mi urwało.

Naczelny redaktor dalej prowadził na moim rękopisie swoje dzieło zniszczenia. W chwili, gdy kończył, ręczna bombka wpadła przez komin i roztrzaskała piec na drobne kawałki. Zresztą nie wyrządziła wielkiej szkody, tylko mały odłamek wybił mi parę zębów.

— Ten piec już na nic — zauważył naczelny redaktor.

Powiedziałem, że i mnie się tak zdaje.

— No, mniejsza o to. Niepotrzebny mi przy takiej pogodzie. Wiem, kto to zrobił. Dostanę go! Patrz pan, oto jak powinno być napisane!

Wziąłem rękopis. Tak był pokiereszowany, poskrobany i pomazany, że własna matka, gdyby ją miał kiedykolwiek, nie poznała by go. Teraz brzmiał, jak następuje:

„PRZEGLĄD PRASY TENNESYJSKIEJ“

Ci nałogowi łgarze z tygodnika „Trzęsienie ziemi“ znowu chcą obluzgać jadem swych szkaradnych kłamstw garstkę uczciwych i szlachetnych ludzi. Celem ich pocisków jest obecnie najwspanialsze przedsięwzięcie ostatnich czasów, kolej żelazna Bollyhack. Pomysł, że Buzzardville ma być pominięte, zrodził się w ich własnych obrzydliwych mózgach, w tych ośrodkach, które im się podoba za mózg uważać! Lepiejby się udławili własnym kłamstwem, jeśli chcą cielskom oszczędzić chłosty, jaka im się słusznie należy.

Ten osioł Blosson z „Pioruna“ i „Hasła Wolności“ znowu u nas grasuje, a stanął u Van Buren'a.

Zwracamy uwagę, że ten łotr z „Wycia Porannego“ ogłosił ze zwykłym upodobaniem w kłamstwie, iż Van Werter nie został wybrany. Wszakże boskim posłannictwem dziennikarza jest rozsiewanie prawdy, wykorzenianie fałszu, kształcenie, rozwijanie i podnoszenie poziomu moralności publicznej i obyczajów. Pod jego wpływem wszyscy powinni się stawać łagodniejsi, cnotliwsi, bardziej miłosierni, pod każdym względem doskonalsi i szczęśliwsi; tymczasem ten niecpoń spod ciemnej gwiazdy poniża systematycznie swoje święte powołanie, rozsiewając fałsze, oszczerstwa, nagany i grubiaństwa.

Mieszkańcom Blathersville'u zachciało się bruków! Potrzebniejsze im więzienie karne i przytułek dla ubogich. To dopiero pomysł brukować miasto, posiadające jedną dorożkę, dwie gorzelnie, kuźnię i ten plaster synapizmowy, zwany „Hurra codzienne“! Ten gad pełzający Bucker, redaktor „Codziennego Hurra“, ryczy w tej sprawie ze zwykłym sobie idiotyzmem i wyobraża sobie jeszcze, że gada do rzeczy“.

— Oto, jak należy pisać: pieprznie. Lukrecja z miodem w dziennikarstwie nic nie warta

W tej chwili przez okno z brzękiem wleciała cegła i musnęła mi grzbiet. Usunąłem się, bo wydało mi się, że zawadzam trochę.

— To zapewne pułkownik — ozwał się redaktor. — Czekałem na niego dwa dni, w tej chwili powinien się tu pokazać.

Miał słuszność. W chwilę potem stanął na progu pułkownik z rewolwerem w ręku.

— Czy mam zaszczyt mówić z tchórzem, który wydaje to podłe pismo?

— Tak, panie. Siadaj pan, proszę. Ostrożnie z krzesłem, brak mu jednej nogi; sądzę, że mam zaszczyt rozmawiać z bezczelnym kłamcą, pułkownikiem.

— Właśnie. Mam rachunek do załatwienia z panem. Jeśli pan masz wolną chwilę, to moglibyśmy zacząć.

— Mam do skończenia artykuł o „Zachęcającym procesie moralnego i intelektualnego postępu w Ameryce“, ale to nic pilnego. Zaczynaj pan.

Oba pistolety jednocześnie donośnie wystrzeliły. Naczelny redaktor stracił jeden kędzior swej bujnej czupryny, a kula pułkownika obrała sobie stałe locum w najbardziej mięsistej

części mego uda. Pułkownik miał nieco nadwyrężone lewe ramię. Strzelali po raz drugi. Chybili obaj, ale ja dostałem swoją cząstkę; bo któryś przestrzelił mi rękę. Za trzecim razem przeciwnicy zlekka się skaleczyli, a ja miałem draśniętą nogę w kostce. Wówczas powiedziałem, że wolałbym pójść na przechadzkę, zważywszy, że to sprawa prywatna, w której nie pozwala mi brać dalszego udziału delikatność.

Ale obaj panowie prosili mnie, abym usiadł, zapewniając, iż nie zawadzam im bynajmniej.

Po czym przystąpili do nabijania broni, rozmawiając przy tym o żniwie i o wyborach, a ja zająłem się opatrywaniem mych ran. Z ogromnym ożywieniem rozpoczęli strzelanie na nowo, każdy strzał był celny, ale wyznać trzeba, że na sześć razy pięć trafiło we mnie. Za szóstym pułkownik został raniony śmiertelnie i z humorem zauważył, że zmuszony jest się pożegnać, bo ma zajęcie w mieście. Po czym spytał o drogę do przedsiębiorcy pogrzebowego i opuścił nas.

Redaktor zwrócił się do mnie:

— Oczekuję dziś gości na obiad i muszę się przygotować na ich przyjęcie. Zrobisz mi pan prawdziwą łaskę, jeśli zechcesz mnie tu zastąpić i przyjąć interesantów.

Przeraziła mnie trochę perspektywa przyjmowania interesantów, ale zanadto byłem oszołomiony strzelaniną, aby zdobyć się na jakąkolwiek opozycję. Redaktor ciągnął dalej.

— Jone będzie tu o trzeciej, musisz go pan wypoliczkować. Gillespie może wcześniej przyjdzie, trzeba go wyrzucić oknem. Ferguson ma być koło czwartej, tego pan zabijesz. To wszystko na dzisiaj, zdaje mi się. Gdybyś pan miał chwilę swobodną, napisz pan cięty artykuł na policję „objeżdżając“ głównego inspektora. Broń masz pan w szufladzie, amunicja leży w kącie, a za piecem są szarpie i bandaże. W razie wypadku znajdziesz pan na dole chirurga, Lanceta. On się u nas ogłasza, a my zapłatę od niego odbieramy praktyką.

Wyszedł. Dreszcz przebiegł po mnie od stóp do głów. W przeciągu następnych paru godzin przeszedłem tak straszne niebezpieczeństwo, że opuściła mnie wszelka swoboda i pogoda umysłu. Był Gillespie — i wyrzucił mnie przez okno. Jone zjawił się w porę, ale gdy zabierałem się do spoliczkowania, zastąpił mnie w tym miłym zajęciu. Jakiś nadprogramowy nieznajomy pozbawił mnie części włosów. Inny, nazwiskiem Thompson, pozostawił mnie już w stanie zupełnej ruiny, zamieniając mą odzież w zlepek łachmanów. W końcu zostałem napadnięty i zablokowany w kącie pokoju przez wściekłą tłuszczę redaktorów, policjantów i przeróżnych desperatów, którzy klęli, wrzeszczeli i wymachiwali mi nad głową bronią wszelkiego rodzaju, aż powietrze rozjaśniło się od ciągłych błysków stali. Miałem właśnie zamiar wyrzec się stanowiska współredaktora, gdy zjawił się z powrotem mój kolega, wiodąc za sobą gromadkę ożywionych i zachwyconych przyjaciół. Teraz wywiązała się scena walki i mordu, której ludzkie (ani gęsie) pióro nie jest w stanie opisać. Ludzie strzelali do siebie nawzajem, ćwiartowali się, wysadzali się w powietrze, wyrzucali oknami. Rozlegały się ponure bluźnierstwa i wściekłe okrzyki wojenne, poczem wszystko ucichło. W pięć minut pokój opróżnił się i znalazłem się sam z we krwi skąpanym redaktorem; obaj spojrzeliśmy na obraz krwawego zniszczenia, roztaczający się przed nami.

On rzekł: — Pan polubisz to miejsce, jak przywykniesz do niego.

Odparłem: — Mam nadzieję, że zechcesz pan mieć mnie za wytłumaczonego, Przyjechałem na południe, aby wzmocnić zdrowie i w tym samym celu jak najprędzej odbyć podróż powrotną. Dziennikarstwo tennesyjskie zanadto mnie podnieca.

Poczem pożegnaliśmy się z obustronnym żalem, a ja natychmiast wynająłem mieszkanie w szpitalu.

PIEWCA NATURY

Leżeć na trawie, wzrokiem gonić chmurki i marzyć o niebieskich migdałach — oto prawdziwe WAKACJE — tak uważają niektórzy.

Inni oburzają się:

— Wy to nazywacie prawdziwymi wakacjami? Chyba wakacjami nierobów, zgnuśniałych próżniaków i próżnujących staruszków. A my jesteśmy młodzi, pełni energii, zapału.

Dla nas wakacje, to: obóz, wycieczki, uprawianie sportów, praca w polu, na słońcu, humor i radość. To nie bezmyślne próżnowanie i niebieskie migdałki. I dopiero taki odpoczynek ma prawdziwy smak.

„Piewca natury" to jeden z tych, którzy za prawdziwe wakacje uważają właśnie „niebieskie migdałki" i bezmyślną włóczęgę. Trafnie to podchwycił kol. Leszek Szymański. Posłuchajcie.

Uciążliwa podróż dobiegała kresu, byłem wreszcie na wsi. Nie pozostawało nic innego jak zapoznać się z przyrodą tak często opiewaną przez poetów. Niebo coprawda zachmurzone, lecz kto by się tym przejmował. Ruszyłem na spotkanie przyrody, szedłem i szedłem, lecz nigdzie nie mogłem spocząć, wszędzie były kamienie i ostra kłująca trawa. Spostrzegłem wreszcie ładniejsze miejsce, położyłem się, ale natychmiast zerwałem się z krzykiem, gdyż między trawą rosły młode osty, które boleśnie dały mi znać o sobie.

Powlokłem się dalej trochę zniechęcony aż dobrnąłem do majestatycznego lasu. Ległem pod wyniosłą sosną na tak zwanym „puszystym mchów kobiercu". Nie długo jednak leżałem sycąc swe oczy pięknem natury, gdyż poczułem na całym ciele parzące ukłucia. Przyjrzałem się lepiej. Okazało się, że kopiec, na którym opierałem głowę był mrowiskiem, mrówkom zaś nie bardzo podobało się moje postępowanie. Protest zbiorowy odczułem na własnej skórze.

Drapiąc się zlekka opuściłem las. Widok jaki roztoczył się przed moimi oczami kazał mi zapomnieć o bólu. Usiadłem na miękkiej koniczynie i cały zamieniłem się w słuch. Ciszę mącił tylko brzęk owadów i świergot polnych koników. Z marzeń obudził mnie jakiś gruby głos:

— Będziesz mi tu koniczynę gniótł, ja ci pokażę.

Wkrótce ukazał się i właściciel głosu, osobnik dzierżący w ręku grabie. Zerwałem się i uciekłem, nie czekając na dalszy ciąg przemowy, w słusznym rozumieniu, że osobnik ten nie będzie wnikał w pobudki mojego postępowania. W doskonałym czasie przebiegłem pół kilometra, ale obejrzawszy się, spostrzegłem, że jegomość wcale nie miał zamiaru biec za mną.

Zmęczony biegiem, przełożyłem marynarkę z jednej ręki do drugiej i zmarniałem. Piękny brązowy kolor marynarki zamienił się na kolor ochronny. Młoda zieleń pokrywała jodełkę ubrania. Zniechęcony zupełnie do wszystkich piewców natury, oraz wschodów i zachodów słońca doszedłem do przekonania, że i na słońcu są plamy, wobec czego skierowałem swe myśli na bardziej prozaiczne tory.

— Trzeba się wykąpać. Staw niedaleko. Rozebrałem się szybko i z rozpędem wbiegłem do wody. Ale wyszedłem cały zamazany mułem, brudniejszy niż przed tym. Szumiały lekko trzciny i szuwary, słońce uchyliło się ku zachodowi, a ja ciągle nie mogłem odkryć powabów przyrody.

Leszek Szymański
Warszawa

OBOZOWY „SAVOIR VIVRE"

NARESZCIE lato — upragnione wakacje. Jedziemy na obozy, kolonie, wycieczki. Oderwani od naszych zajęć codziennych spędzamy czas w otoczeniu przyrody. Zmęczeni hałasem miejskim odpoczywamy najlepiej w ciszy i spokoju. Śpiewy, muzyka, nawoływania przyjemne w samochodzie, na szerokiej jezdnej drodze, rażą na ścieżce leśnej, nad jeziorem, w górach.

Cieszmy swe oczy widokiem drzew i krzewów, barwnymi plamami kwiatów, lecz nie zrywajmy roślin garściami, by potem gdzieś je porzucić. Pozwólmy poznać piękno naszej przyrody i tym, którzy przyjdą po nas. Jeżeli na trasie naszej wycieczki znajdą się młodniki, omijajmy je.

Państwo w trosce o lasy, tak bardzo wyniszczone w czasie okupacji, zalesia obecnie z olbrzymim kosztem coraz większe przestrzenie. Nie wolno nam przeto chodzić po młodych kulturach i niweczyć dzieło leśnika.

Znalezione grzyby jadalne należy ścinać nożem przy ziemi. Wyrywając je z tzw. „korzeniami" uniemożliwiamy dalsze rozmnażanie. Nie płoszmy i nie zabijajmy zwierząt. Nie znając życia mieszkańców naszych lasów i pól, jakże często nieświadomie tępimy stworzenia pożyteczne. Nie pozostawiajmy po sobie śmieci w miejscach obozowania. Porozrzucane papiery, łupiny, skorupki od jaj, butelki, puszki na pewno nie będą ozdobą polanek czy łąk.

Chwile spędzone przy ognisku obozowym pamięta się długo. Uważać jednak należy, by nie wywołać pożaru. poszycie lasu, zwłaszcza w okresie posuchy, może łatwo zająć się od lada iskry.

Wiele jest w Polsce miejsc, które, bawiąc w pobliżu, warto zwiedzić. Jednakże często zabytkowe budowle, drzewa, przedstawiają smutny widok. Całe upstrzone są inicjałami a nawet pełnymi nazwiskami zwiedzających. Nie przykładajmy ręki do tego dzieła, nie wystawiajmy sobie świadectwa braku kultury.

Stosując się do tych wskazówek będziemy naprawdę harcerzami - przyrodnikami.

PAWEŁ BENBENEK — Myślenice

Jaś i współzawodnictwo

Mój braciszek opowiada:

— Jak weszliśmy na halę, trzeba było uszy zatkać, taki huk. Przy maszynach stały robotnice albo robotnicy i pilnowali nitek bawełnianych, żeby się nie poplątały. Te maszyny to były przędzalnie.

— Skąd o tym wiesz?

— Skąd? Pytałem się, o wszystko się pytałem.

— Ho, ho...

— A co ty myślisz? Nawet wiem, do czego potrzebna jest tabliczka, która wisi przy każdej maszynie. Czekaj... Jak to mówił ten robotnik?.. Aha! Na tabliczkach wypisuje się wyniki pracy włókniarza, żeby wiedzieć ile zrobił materiału. A jak zrobi dużo, to jest przodownikiem pracy, bo to — Jaś podnosi w górę palec i uśmiecha się triumfalnie — współzawodnictwo pracy!

*

Mój braciszek Jaś ma 11 lat. Niewiele wiedział o współzawodnictwie. Przekonaliście się sami z jego słów. Napewno niejeden z was mógłby go sporo nauczyć, nie mówiąc już o starszych koleżankach i kolegach, którzy nawet mnie zapędziliby w kozi róg.

Chcę jednak wrócić jeszcze do tego tematu. Widzicie... o współzawodnictwie można mówić całymi godzinami. Więc słuchajcie.

Szkoła Jasia nie była zbyt ładna, ani wygodna. W środku wyglądała jako tako, ale na zewnątrz — pożal się Boże! Najgorszy był jednak dziedziniec, który zarazem spełniał rolę boiska. Gdy chciałeś kopnąć piłkę w prawo, leciała w lewo; gdy cisnąłeś ją wprost, potrafiła wrócić i uderzyć cię jeszcze w głowę. Doły i góry kierowały piłką, jak chciały. One tu właśnie były „strzelcami", a nie chłopcy.

Pewnego razu złość wzięła naszych chłopaków.

— Ej, do licha, długo tak jeszcze będziemy się męczyć?

— A nie można by połatać tych dziur?

— Wyrównać teren!

— Wygładzić!

— Zrobić porządek! Oczyścić!

Zaczęli wołać jeden przez drugiego. Wreszcie któryś powiedział:

— Chodźmy do nauczycielki. Niech nam pomoże.

Poszli.

*

Mój braciszek opowiada:

— Kiedy skończyliśmy pracę, to nawet zetempowcy nas podziwiali. Że takie „pędraki", i tak potrafili ładnie boisko wyrównać. Potem pomogli nam robić słupek. Ciężki był. Najsilniejszy chłopiec z naszej szkoły nie mógł go sam podnieść z ziemi.

— Dobrze, ale po co wam ten słupek?

— Poco? — Jaś kręci się z zadowolenia, jak spławik na rzece.

— A pamiętasz, jak ci opowiadałem o fabryce w Łodzi?

— No?

— Więc słupek był nam potrzebny do tablicy na ogłoszenia. Ta tablica już jest gotowa. Jest na niej i moje nazwisko: Jan Werner, punktów 26, pierwsze miejsce.

— Co? Punkty? Pierwsze miejsce?

— Nie rozumiesz? — To nasze współzawodnictwo!

*

Musiałem z nim iść na lody. Taki mały, popatrzcie. Pierwsze miejsce... Nie ma co... Jaś mi mocno zaimponował.

Stanisław Werner
z Warszawy

W tym tygodniu do redakcji przyszło więcej listów niż zazwyczaj. Okazało się więc, że wakacje nie zmniejszyły bynajmniej naszym korespondentom ochoty do pisania. Bardzo mnie to cieszy. Zgłosiło się też kilku nowych korespondentów. **Witek Gepetowski z Sulejówka k. Warszawy** zapytuje:

„... do „Świata Młodych" piszę pierwszy raz, bo poznałem go dopiero przed kilku tygodniami. Czy mogę zostać korespondentem?"

Rzecz zrozumiała, że korespondentem możesz zostać.

Adam Mazurek z Niepołomic. Również i ciebie przyjmujemy do grona naszych korespondentów. Tematyka wierszy ciekawa, ale musisz jeszcze nad nimi popracować. Bardzo możliwe, że „Bohaterom spod Lenino" wydrukujemy po wakacjach.

Zosia Marczewska z Warszawy. Twój list przesłałem do Wydziału Zuchów Chorągwi Warszawskiej. Zgłoś się po wakacjach. Dlaczego nie podałaś swego adresu?

Józef Chorądzikiewicz. Humoreska pójdzie. Może jeszcze coś napiszesz? Legitymację dostaniesz po wakacjach.

Florian Bączek — Laskowice Olawskie. List otrzymałem. Wrażeń z podróży nie wykorzystamy. Napisz może coś innego.

Bronisław Antkowiak — Wądnica. Twoje „Ratownictwo" jest niedokładnie opracowane, dlatego nie możemy zamieścić.

J. D. Katowice. Humoreska dowcipna, ale dla nas się nie nadaje. Dziękuję za pozdrowienia i za słowa uznania dla „Świata".

Stanisław Mielnicki — Brzeg Dolny. Z Twoimi uwagami na temat czytelnictwa książek, zgadzam się całkowicie. Życzę ci powodzenia w dalszej pracy.

Stanisław Pączka — Dąbrówki pisze, że „Świat Młodych" nie we wszystkich drużynach jest znany. Rzeczywiście tak jeszcze jest. Mamy jednak nadzieję, że już niedługo nie będzie takich drużyn. Nadesłane prace, postaram się wykorzystać.

Lech Koralewski. Chyba nie pójdzie.

Zdzisław Kuska — Kromsko Nowe. Przyjmujemy cię do grona naszych korespondentów. Możesz być korespondentem, nie należąc do Koła Korespondentów.

Michał Przybysz — Sandomierz. Częściowo wykorzystamy.

Leszek Deptuła — Toruń. „Wania jedzie na obóz" to reportaż z ZSRR a nie materiał instrukcyjny. Reklamacje przekazałem do Administracji.

Zofia Kucharska z Łowicza. Prace czytelników zamieszczamy w każdym numerze na stronie 9 i ew. na 2. Jak będziesz w Warszawie, zajrzyj do redakcji. (Dworkowa mieści się na Mokotowie i odchodzi od ul. Puławskiej). „Zemstę" odkładam do teczki.

Jerzy Cyrołowski — Parciaki. Dobra, zostań naszym korespondentem. Czekam na wiadomości z Twojej szkoły i wsi. Przesłane prace trochę jeszcze za słabe do druku. Nie wątpię, że stać Cię na lepsze.

Jerzy Korzeniowski — Sławków. Masz do nas pretensję, że nie dajemy Ci żadnej odpowiedzi. **A pamiętasz jeden z Twoich listów?** Powinieneś zrozumieć, że jeżeli nie zamieściliśmy Twojej pracy, to widocznie mieliśmy jakieś powody ku temu. Powinien to zrozumieć korespondent taki jak Ty.

Karol Pożlewicz — Skąpe. Redakcja „Biuletynu Instruktorskiego ZHP" mieści się w Warszawie, ul. Łazienkowska 7. „Biuletyn" możesz zaprenumerować, wysyłając pieniądze (pren. kwart. 90 zł, półroczna 180), na konto PKO Warszawa I-4150 z zaznaczeniem, za jakie m-ce opłacasz. Sądzę, że można otrzymać jeszcze wszystkie numery.

UWAGA! Tym co pytają się o nowe stopnie harcerskie odpowiadam: 1. Ochotnik — ochotniczka, odpowiada dawnym stopniom młodzika i ochotniczki. Pionier — wywiadowcy, tropiciele. Przodownik — ćwikowi, pionierce. Organizator — harcerzowi orlemu, samarytance.

2. Krzyż harcerski jest nadal oznaką ZHP.

3. Na krzyżu nie można nosić żadnych oznak dawnych stopni.

WYPRAWA W NIEZNANE

W namiocie komendy, mimo ciszy poobiedniej, wrzała gorączkowa praca. Nie było tego dnia czasu na odpoczynek. Trzech z zastępu „Pionierów" robiło jakieś szkice, oboźny wydawał polecenia magazynierowi, aby przygotował prowiant dla dwunastu ludzi, sekretarz wypisywał formularze...

— To coś dla nas — pomyślał Witek i po zleceniu wykazu opuścił namiot komendy.

*

Ostry gwizdek przerwał ciszę poobiednią.

— Zastępowi „Ślązan" i „Mazowszan" do druha komendanta — rozległ się donośny głos oboźnego. Witek poderwał się od stolika.

Adam, zastępowy „Mazowszan" stał już przed namiotem komendy, poprawiając na sobie mundur. Komendant wyszedł przed namiot.

— Idziecie dziś ze swymi zastępami na „szlak" — rzekł po chwili, biorąc od oboźnego szkice trasy marszu i wręczając je Witkowi i Adamowi. Instrukcje odnośnie celu marszu znajdziecie w listach, które wam daję. Z treścią listów zapoznacie się po opuszczeniu obozu. Każdy zastęp ma inną trasę. Za 15 minut meldujecie zastępy gotowe do wymarszu. Prowiant u druha gospodarza. Jasne?

— Jasne, druhu.

— W porządku!

— Acha, jeszcze jedno. W namiotach zostawiacie idealny porządek.

*

Krótki raport, przegląd ekwipunku, ostatnie instrukcje komendanta i... wymarsz na szosę. Adam ze swoją „piątką" opuszcza zastęp Witka, zbaczając w polną drogę.

— Do zobaczenia na jutrzejszym ognisku.

Witek zatrzymał zastęp, celem odczytania listu i zorientowania szkicu.

W związku ze zdobywaniem sprawności krajoznawczej — brzmi treść listu — przeprowadzicie wywiad krajoznawczo - gospodarczy wsi, oznaczonej na szkicu krzyżykiem. Zapoznacie

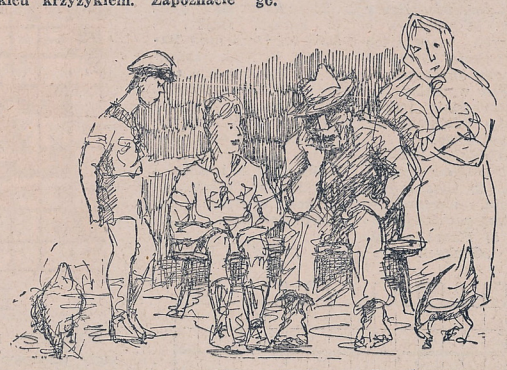

się z życiem tej wsi i nawiążecie kontakt z miejscową ludnością. Wywiad pisemny ma być zaopatrzony w szkic marszowy wioski.

Zastęp ruszył w dalszą drogę. Minęli jedną wioskę, przeszli obok pięknego jeziora, skręcili z szosy w boczną drogę i zagłębili się w stary, sosnowy las. Po kilku kilometrach byli u celu.

Wioska nisko położona opiera się północną stroną o las. Przez wioskę przepływa leniwie rzeka. Od strony południowej teren jest pagórkowaty, pokryty grupami drzew. W środku wioski widać duże, murowane zabudowania, pokryte czerwoną dachówką — zapewne majątek państwowy. Witek podzielił zastęp na dwie grupy. Jedna grupa zajmie się wywiadem terenoznawczym, a więc zrobi szkic marszowy wsi, określi teren, zwróci uwagę na budownictwo, zdobędzie wiadomości o historii wsi.

Druga natomiast grupa uda się do majątku, celem przeprowadzenia wywiadu gospodarczego.

Witek poszedł z drugą grupą.

*

Siedząc na ganku kaszubskiej chaty, otoczeni grupą wieśniaków, dowiadują się ciekawych rzeczy. Rozmowa z gospodarzami nie robi wrażenia wywiadu. Tym bardziej, że notatki zrobili chłopcy potem, a nie w trakcie rozmowy. Z tej swobodnej rozmowy chłopcy dowiadują się, że ludność miejscową stanowią Kaszubi. Stare zwyczaje kaszubskie są nieomal w zaniku, budownictwo również. Tu ujawnia się historia walk z germanizacją tych ziem.

Chłopcy zapoznają się z warunkami życia wieśniaków. Wiedzą już, ilu mieszkańców liczy wioska, ile przeciętnie osób zamieszkuje 1 izbę, jaka jest przeciętna posiadanej ziemi, rodzaj gleby, jakie stosuje się nawozy i co się uprawia oraz jakich maszyn rolniczych używa się do uprawy ziemi, jaki jest stan higieniczny okolicy.

Dowiadują się także o działalności spółdzielni Samopomocy Chłopskiej i koła ZMP. Nauczyciel udzielił informacji o szkole.

Pierwsza grupa zdążyła już wrócić ze swego wywiadu z pięknym szkicem wsi, a Witek gwarzył jeszcze z gospodarzami.

Wrażeń i wiadomości coraz więcej.

Księżyc już był wysoko, gdy chłopcy opuszczali miłych gospodarzy, udając się na spoczynek, przygotowany przez „terenoznawców".

*

Po powrocie do obozu długo rozmawiali, dzieląc się uwagami, dotyczącymi poznanej dziś wsi. Cóż zyskali na tym? Czy tylko to, że wycieczka zaliczona zostanie na sprawność krajoznawcy za dobrze przeprowadzony wywiad? Nie. Każdy zdawał sobie sprawę, że poznał życie jednej wsi polskiej. Cóż może bardziej zbliżyć młodzież miejską z ludźmi wsi, jak nie poznanie ich życia?

*

Wędrując przez nieznane okolice, stykamy się z wieloma sprawami, o których słyszy się lub czyta, widzimy tętniące życie, uczymy się patrzeć i oceniać zachodzące zmiany. Stykając się bezpośrednio z ludźmi i obserwując ich pracę, zdajemy sobie sprawę, jakie znaczenie ma praca harcerska na obozie dla wsi.

Zdobycze wycieczki krajoznawczej muszą być w pełni wykorzystane. Poza sprawozdaniami, ilustrowanymi rysunkami i szkicami, które wykorzystamy w gazetce ściennej lub kronice, posłużą nam też do zajęć kulturalno - oświatowych na obozie (ogniska, wieczory świetlicowe, zdobnictwo i in.).

J. KASPRZAK

I my w sztafecie...

Do dużej świetlicy ZMP w Starym Borku, gdzie obozuje hufiec harcerzy z Chorzowa - Batorego, schodzą się dziewczęta i chłopcy zaproszeni na specjalne zebranie.

Gdy wszyscy zajęli miejsca, przewodnicząca zabrała głos.

— Koleżanki i koledzy! 22 lipca przypada rocznica zjednoczenia młodzieży i pięciolecie Polski Ludowej.

Związek nasz organizuje na terenie całego kraju sztafety do Warszawy. Przyniosą one meldunki z całej Polski o naszej pracy.

Z radością przyjmuję propozycję obozu harcerzy z Chorzowa-Batorego. Propozycja ta—to przekazanie meldunku do Koło brzega, skąd pójdzie do Gryfic, a następnie przez kilka innych miast do Warszawy.

*

— Kolego kierowniku, meldu je przybycie obozu harcerzy do sztafety — melduje nasz komendant.

— W porządku, obstawicie drogę na trasie Korzysino — Kołobrzeg, gdzie przekażecie meldunek koleżance przewodniczącej, która wbiegnie z nim na metę — odpowiedział znajomy zetempowiec.

Dochodzi godzina 11.30. Meldunek rusza. Niesie go zetempowiec. Po 300 metr. biegu zetempowiec przekazuje go innemu koledze, junakowi z SP. Meldunek wędruje z rąk do rąk. Około 1 km od Kołobrzegu oczom naszym ukazuje się furmanka wioząca jeszcze kilku druhów, których nie zdążyła rozstawić.

— „Zawalenie", Sztafeta dogoniła furmankę z harcerzami. Chłopcy na ostatnim kilometrze nierozstawienia — słychać wokół głosy.

Tymczasem z furmanki zeskakuje jeden harcerz, łapie meldunek, biegiem wyprzedza wolno jadącą furmankę. Nic nie rozumiemy.

Na całe szczęście kolega jadący cały czas koło furmanki na rowerze, zobaczywszy co się dzieje, szybko bierze na ramę roweru jednego druha aby zawieźć go na punkt. Nie ma jeszcze 2 minut, a ukazuje się powtórnie. Tym razem zabieramy koleżankę przewodniczącą, która ma dostarczyć meldunek na metę.

Przewodnicząca w mundurze zetempowskim wbiega na metę i wręcza meldunek koledze przewodniczącemu Zarządu Powiatowego ZMP Janowi Buładkowi, którego otacza grupka zetempowców. Po chwili na ulicy zatrzymuje się samochód, z którego wysiada starszy harcerz w instruktorskiej bluzie z czerwoną podkładką pod krzyżem. Harcerz przedstawia się koledze Buładkowi. — Berek —

Teraz dopiero poznajemy tę samą twarz, którą oglądaliśmy w „Świecie Młodych".

— Chciałbym dowiedzieć się, gdzie obozują kursy chorągwi Śląsko-Dąbrowskiej?

Zbliżamy się do Druha Przewodniczącego. Pyta nas o sztafetę, jak nam idzie praca na obozie, czy nikt nie choruje, czy piszemy listy do rodziców. Dziwi się, że mimo niesprzyjającej pogody jesteśmy opaleni.

*

Sztafeta... wrażenia z biegów... Przewodniczący ZHP... to trochę za dużo wrażeń jak na jeden dzień, dla naszych młodych „wygów" obozowych. Wracamy do obozu.

WŁODZIMIERZ GAWROŃSKI
Obóz w Starym Borku

Don Kichot w Polsce

PONAD NORMĘ

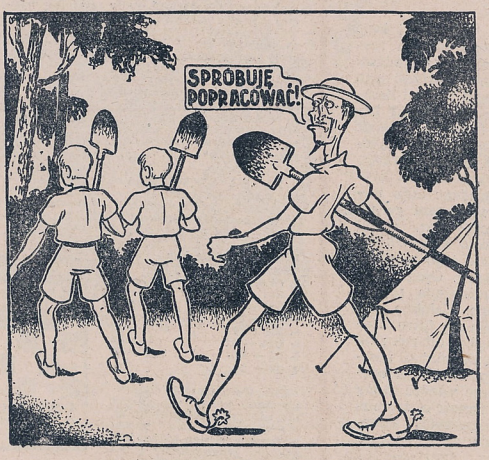

rys. M. WALENTYNOWICZ,

opr. J. PODOSKI

LIBERTY

(dok. ze str. 6)

dził, że tak musi być. Buddy mawiał: „cierp i milcz". I Jim milczał. Milczał dlatego, żeby jego matka mogła żyć, a braciszek chodzić do szkoły. Bo gdyby stracił pracę u Freda, nie byłby jej znalazł nigdzie. Dla wielu białych w New Yorku nie ma pracy, a co dopiero mówić o murzynach. Zresztą młody Farrington przyrzekł Haroldowi, że nie zwolni Jima z pracy bez ważnych powodów. Wczoraj nauczyciel powiedział mu że jego mały braciszek Jack, jest bardzo zdolny i powinien uczyć się dalej. Jim bardzo chciał, aby Jack uczył się i postanowił prosić Freda o podwyżkę. Poprosi go i da napewno. Nagle rozmyślania przerwał mu głos Freda: „Jim jedziemy!" Odwrócił się. Fred nonszalancko uśmiechnięty (dolary były) wsiadał do wozu. Za nim szedł mister Samuel, prowadząc Harlowa:

— Fred odwiezie pana do hotelu. Harlow otworzył drzwiczki i nagle ujrzał Jima.

— Co? Co? — wyjąkał — mnie ma wieźć negr, negr? — powtórzył tonem bezbrzeżnej pogady. — Czy pan kpi?

Farrington był wyraźnie skonsternowany:

— Ależ Harlow, to jest... szofer.

Harlow opanował się:

— Wierzę panu, że nie chciał pan tego zrobić mi na złość, ale u nas na południu murzynom robi się tak. Wykonał znaczący ruch na szyi.

— W istocie — zgodził się Farrington, właściwie po co my trzymamy murzyna? Już nawet zaczęły się plotki. Fred- — zawołał — zwolnisz Jima z jego zajęć.

— Tak, Jim — zwrócił się do niego Fred. — Jesteś zwolniony od jutra, a tu masz 10 dolarów.

— Jakto, sir, za co? — wyjąkał, nie mogąc nic zrozumieć, Jim.

— Za co? Bo mi się tak podoba. Za to, że jesteś czarny, miej żal do swego ojca — i Fred zaśmiał się ze swego wątpliwego dowcipu. A teraz jedź. 42 Street.

Jim wsiadł jak automat i zapuścił motor

* * *

Jim dwa razy skręcał w złą ulicę, nie widząc tego. Huczało mu w głowie. Został zwolniony z pracy. Nie rozumiał niczego, wiedział jedno — jego mały braciszek już nigdy nie pójdzie do gimnazjum. Nigdy nie zostanie wielkim człowiekiem. Ogarnął go nagle wielki żal. I za co go zwolniono? Za co walczył w Afryce i we Francji? Za co bił się za swoją ojczyznę? On kochał swoją ojczyznę, a ona go odepchnęła. Bo był czarny Murzyn zrobił swoje, Murzyn może odejść. A przecież wtedy we Francji, pod Rouen mała francuska dziewczynka wręczyła mu bukiecik skromnych polnych kwiatów, wołając dziecinnym głosikiem: „Vive Jankes" A później w Dachau nieznajomy człowiek rzucił się mu na szyję. Dla nich nie był czarny? Więc byli i dobrzy biali. Jego braciszek nigdy nie pójdzie do gimnazjum. Jim dodał gazu. Zrozumiał, zrozumiał, że istnieją dobrzy biali, jak tamci, jak Harold i żli, jak: Farrington, Fred, Harlow. I tych było więcej; oni chcieli, żeby Jimowi było źle.

Cadillac pędził coraz szybciej. Jimowi zaczęły latać czerwone płatki przed oczami. Nie słyszał nic. Nie słyszał Freda krzyczącego coś przeraźliwym głosem, ani wyjącej syreny policyjnego „Morrisa", który pędził za nimi. Nagle ujrzał kątem oka róg ulicy i ścianę drapacza. Nerwowym ruchem skręcił kierownicę. A po tym piekielny huk, łoskot, nagła cisza i ciemność.

* * *

Gazety „Daily Herald", „New York Tribune" i inne wyszły w zwiększonym nakładzie, a po ulicach rozbiegłą się gazeciarze, wymachując wielkimi płachtami pism. Tłuste litery głosiły: „Ohydne morderstwo! Syn multimilionera zginął. Kat i ofiara zginęli razem! Zemsta szofera murzyna! Moralność czarnych! Dokąd będziemy hodować żmije na własnym łonie?" A dalej: „wczoraj wieczorem zdarzył się okropny wypadek, który okrył żałobą całą elitę New Yorku. James Hunter, szofer Alfreda Farringtona, syna multimilionera i króla miedzi, Samuela Farringtona, prowadząc auto milionera, w napadzie szału umyślnie wpakował go na ścianę. Pędzący z ogromną szybkością wóz, został strzaskany, grzebiąc pod swymi szczątkami kata i ofiarę.

Alfred Farrington zginął. Zginął także jego morderca, unikając w ten sposób słusznej kary. Ojciec szaleje z rozpaczy. Śmierć Alfreda Farringtona pogrążyła w żałobie całą naszą plutokrację. Żałobne nabożeństwo i uroczysty pogrzeb odbędzie się jutro. Należy podkreślić, że szofer — morderca, był od roku na służbie Farringtona. Jedyny powód tej zbrodni to zemsta za zwolnienie go z pracy. Oto odpowiedź dla orędowników murzynów. Sądzimy, że nasze władze staną na słusznym stanowisku i zrozumieją wreszcie, że murzyni w USA są jedynym źródłem demoralizacji i anarchii. Dalsze wiadomości w wydaniu wieczornym."

* * *

Pogrzeb Freda odbył się bardzo uroczyście. Cała elita nowojorska zebrała się w komplecie.

— Ciekawe co stary zrobi z tą kupą forsy i komu ją zostawi? — padło pytanie. Ale mister Samuel nie był wcale tym skonsternowany, ani wyglądał na zrozpaczonego; stał spokojnie, poprawiając co chwila żałobną muszkę, a nawet podobno mruczał do siebie:

— Dobry to był gagatek, ciągle tylko ciągnął ode mnie pieniądze, kochany synalek, — dalsze jego słowa zagłuszyły mowy pogrzebowe.

— Do diabła — zwierzał się Pat towarzyszowi — Fred zginął, a mnie nie oddał 2.000 dolarów, żeby go.. — i to była najwłaściwsza mowa nad grobem Freda. Samuel Farrington nie mógł się doczekać końca uroczystości, kręcił się coraz niespokojniej, aż wreszcie znikł. Widziano go przy telefonie. A gdyby ktoś podszedł, usłyszałby słowa: „spekulacja akcjami trustu stalowego wywoła na giełdzie obniżkę...". Syn synem, a interes interesem. Bussines is bussines!!!

* * *

Był wieczór. New York stał w powodzi neonów. Statua Wolności nadal nad miastem wyciągała swą rękę ku niebu, niewiadomo — błogosławiąc, czy grożąc. W Ameryce panuje w o l n o ś ć.

ANDRZEJ LUBACH

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

Pod red. A. NOWAKOWSKIEGO

LOGOGRYF „B"

Do podanej figury wpisać 16 wyrazów o poniższych znaczeniach i takiej samej literze początkowej. Środkowe litery tych wyrazów dadzą rozwiązanie: imię i nazwisko wielkiego pisarza polskiego.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) Żubr amerykański, 2) Głos męski, 3) Błoto, trzęsawisko. 4) Rodzaj pocisku lotniczego, 5) Pisarz polski, autor „Grubych ryb", „Domu otwartego" i in., 6) Zgraja, szajka, 7) Imię bohatera spod Racławic, 8) Ptak drapieżny, 9) Zwierzę domowe, 10) Stolica Indonezji, 11) Zbiornik wody, 12) Państwo w Ameryce Płd., 13) Naczynie szklane lub blaszane, 14) Strażacki drąg z hakiem i ostrzem na końcu, 15) Roślina pastewna, 16) Placki smażone.

„MIŚ" — Poznań

Krzyżówka

POZIOMO: 1) Lekkie mgły unoszące się nad mokradłami, 5) Rodzaj drogi bitej, 9) Inaczej „lecz, wszak, przecie', 10) Wykrzyknik, 12) Miasto portowe w Finlandii, 13) ?, 17) Uzdolnienia, zdolności do spra wowania jakiegoś obowiązku, 26) Zaimek osobowy, 27) Zaimek zwrotny, 28) Żarty, drwiny, 29) Sprzęt sportowy (w liczbie mnogiej), 30) Muł rzeczny, 31) Rzeka na Syberii.

PIONOWO: 2) Symbol pychy, 3) Imię wschodnie, 4) Matka Zeusa, 6) Pierwiastek chemiczny, wykryty przez M. Curie - Skłodowską, 7) Inaczej „żeby, iżby", 8) Rodzaj przykrycia, derka, 10) Jednostka miary oporu elektrycznego, 11) Inicjały autorki „Panienki z okienka", 13) Ciasnota, tłok, 14) Paski skórzane używane przy troczeniu, 15) Niewielka chmura, 16) Narzędzia stolarskie, 18) Pograniczne oddziały wojskowe (w skrócie) 19) Spójnik, 20) Ryba. 21) Nuta, 22) Symbol chemiczny irydu, 23) Mocne karty w grze, 24) Drzewo iglaste, 25) Przeciągłe, bolesne westchnienie.

I. MARTYNOWICZ — Zabrze

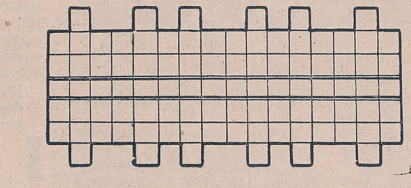

Pod red.

ST. GAWLIKOWSKIEGO

Pisząc o ataku pragniemy zapoznać Was z jeszcze jedną „historyczną" partią Laskera — Napier. Zwycięzca jej, dr E. Lasker był mistrzem świata przez 27 lat, głównie dzięki fenomenalnej poprostu umiejętności połączenia wszystkich cech szachisty: atakował ostro, bronił się twardo, manewrował celowo i subtelnie, końcówki grał znakomicie, debiuty traktował solidnie i z wielkim zrozumieniem. Charakterystycznym jest, że w każdej z tych dziedzin kilku, a czasem więcej mistrzów owczesnych przewyższało Laskera, ale on je den potrafił połączyć w tak wysokim stopniu wszystkie te umiejętności. W całej swej karierze Lasker nigdy, jak to się mówi „nie tracił głowy" i — wygrywał pozornie przegrane partie dzięki świetnie opanowanym nerwom.

Dzisiejsza partia jest dla stylu Laskera bardzo charakterystyczna.

PARTIA SYCYLIJSKA
grana na turnieju międzynarodowym w Cambridge Springs 1904 roku

Białe: dr E. Lasker
Czarne: W. E. Napier.

1. e2 — e4	c7 — c5
2. Sb1 — c3	Sb8 — c6
3. Sg1 — f3	g7 — g6(?)
4. d2 — d4	c5 : d4
5. Sf3 : d4	Gf8 — g7
6. Gc1 — e2	d7 — d6
7. h2 — h3	Sg8 — f6
8. g2 — g4	

Debiutu według dzisiejszego stanu teorii obie strony nie rozegrały najdokładniej, ale to nas narazie mniej interesuje. Teraz białe, jeszcze nie roszowawszy i nie rozwinąwszy wszystkich figur rozpoczynają atak na skrzydło królewskie, trzeba przyznać atak b. śmiały.

8.	0 — 0

Zupełnie prawidłowo, groźi teraz 9 . . . d5 z dobrą partią dla czarnych. Nie od razu 8 . . . d5. bo 9 Gb5!

9. g4 — g5	Sf6 — e8
10. h3 — h4	Sc6 — c7
11. f2 — f4	

Jeżeli teraz 11 . . . d5 to 12. e5. Ale czarne znajdują inną drogę do rozbicia białego centrum. Jest to typowa dla podobnych pozycji i jedyna słuszna taktyka. bezczynne oczekiwanie ataku białych musiałoby doprowadzić do zguby.

11.	c7 — c5
12. Sd4 — e2	

Najlepsze!

12.	d6 — d5?

Poważne niedociągnięcia, prowadzące zresztą do szalonych komplikacji, korzystniejszych jednak dla białych, co Lasker świetnie wykaże. Należało grać 12 . . . Gg4! z doskonałą partią dla czarnych.

13. e4 : d5!

Nie 13. S : d5? e : f4? z przewagą czarnych.

13.	Gc6 — d4!
14. Se2 : d4!	

Jeżeli 14. G : d4, te 14. . . e : d4. 15. S : d4, S : d5 i czarne mają więcej niż dostateczną kompensatę za ofiarowanego pionka.

14.	Sc7 : d5!

Bardzo dobra odpowiedź. Po 14 . . . e : d4. 15. G : d4 białe miałyby dwa piony więcej i zupełnie bezpieczną pozycję.

15. Sd4 — f5!

Białe zdobywają figurę. .

15.	Sd5 : c3!

Pointe'a obosiecznego manewru, zapoczątkowanego ruchem 12 . . . d5. Czarne przywracają materialną równowagę przy obiecującej pozycji.

16. Hd1 : d8	Wf8 : d8
17. Sf5 — e7 !	

Nie 17. b : c2? G : f5, albo 17. S : g7, Sd5! z przewagą czarnych.

17.	Kg8 — h8!

Czarne również są na wysokości zadania. Słabe 17. . . Kf8? 18. Gc5, Se4. 19. Ga3. Jeżeli teraz 18. S : c8 ? to 18 . . . Sd5! a na 18. b : c3? nastąpi 18 . . e : f4. 19. Gd4, G : d4. 20. c : d4, We8. Laster wynajduje jednak posunięcie, wznawiające atak.

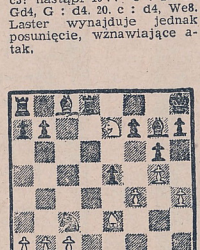

18. h4 — h5!!	Wd8 — e8!

Jeżeli 18 . . . e : f4 to 19. h : g6! f : g6. 20. S : g6+, Kg8. 21. Gc4†, Sd5. S : f4.

19. Ge3 — c5	g6 — h5

Jedyna szansa. Jeżeli 19 . . . e : f4 to 20. h : g6! f : g6. 21. Gc4! b5! 22. G:f7, 23. Wh2, Sd5. 24. G e8. W : e8. 25. 0 — c — o

20. Gf1 — c4!	

Nie 20. b : c3. Gf8! 21. Gb5, W : e7.

20.	c5 : f4!
21. Gc4 : f7	

Na pozostające do kontroli czasu 10 posunięć miał jeszcze Laster tylko 3 minuty.

21.	Cs2 — e4
22. Gf7 : e8	Gg7 : b2
23. Wa1 — b1	Gb2 — c3+
24. Kc1 — f1	Gc3 — g4!

Czarne mają potrójną groźbę: S : c5, W : e8, S g3+ — hl. Ale białe, mając wieżę więcej zwracają cały zdobyty materiał i w bardzo uproszczonej pozycji organizują ostateczny atak.

25. Ge8 : h5!!	Gg4 : h5!
26. Wh1 — h5!!	Sc4 — g3+
27. Kf1 — g2	Sg3 : h5
28. Wb1 : b7	

Pozycja się wyjaśniła, ale białe zachowały atak i wygrywają szybko.

28.	a7 — a5
29. Wb7 — b3!	Gc2 — g7
30. Wb3 — h3	Sh3 — g7
31. Kg2 — f2!	

Zdobywa pionka: 31 . . . Wf8 (Ge5)? 32. Sg6+.

31.	Wa8 — a6
32. Kf3 : f4	Sg2 — e2
33. Kf4 — f5	Se2 — c3
34. a2 — a3	Sc3 — a4
35. Gc5 — e3.	

Grozi 36. g5, jeżeli 35 . . . Gf8 to 36. Gd4+, Gg7, 37. g6! wobec czego **czarne poddały się**

KLUB FILATELISTÓW

CZECHOSŁOWACJA

Dziś reprodukujemy zapowiadane w jednym z ostatnich numerów, znaczki wydane z okazji IX Kongresu Czeskiej Partii Komunistycznej.

3 znaczki: 1,50 (zielony), 3 (czerwony) i 5 Kcs (niebieski) weszły w obieg 24 maja br. Projekty wykonali V. Polaszek, F. Kovarzik, J. Kotik.

SKRZYNKA POCZTOWA KLUBU

Kol. RYSZARD CMELA, ŁÓDŹ. Dziękujemy za przysłane znaczki i pozdrowienia.

Kol. JÓZEF CIEŚLIKOWSKI, WROCŁAW, ul. Kaz. Jagiellończyka 76 — 12 prag nie nawiązać korespondencję z kolegami klubowymi w celu wymiany znaczków oraz ewentualnej pomocy w kompletowaniu jego zbioru.

Kol. LEONID CYBULSKI, PARCZEW, Żymirskiego 108. Może wymienić znaczki Polski, General. Gubernii Europy i całego świata na znaczki tych samych państw, których on nie posiada. Może służyć wielkim wyborem znaczków czechosłowackich.

NOWI KOLEDZY KLUBOWI

119. Wiktor Chotkowski, Słupsk, Popławskiego 5a.

120. Stanisław Wierzbicki, Warszawa, Żoliborz, Stołecz na 14 m 56.

121. Lech Kuczer, Choszczno, 3-go Maja.

122. Remigiusz Woźniak, wieś Elżbień, p-ta Opinogóra.

123. Tadeusz Turski, Grodziec, Barlickiego 49.

124. Jan Ładno, Mińsk Maz Daszyńskiego 5 m 2.

125. Janusz Rentflejsz, Wrocław, Skłodowskiej 39 m 9.

126. Roman Woliński, Łódź Młynarska 33.

127. Krzysztof Ostrowski, W-wa, Ksawerów 11.

128. Zygmunt Świda, Wolbrom, 29 listopada 18,

Było ciemno i nikt nie mógł odrazu zorientować się, o kogo mianowicie chodzi. Dopiero po dłuższej chwili padły nazwiska Plichty i kapitana Pilewicza.

Grey, zniecierpliwiony, kazał ich szukać. Czas naglił i każda minuta była droga.

Maszyny stały gotowe do lotu z silnikami w ruchu i z zapalonymi światłami pozycyjnymi. Tylko stojący u samego lądowiska Lamers K-6 był nieoświetlony.

Grey patrzył w tamtą stronę z roztargnieniem.

— Może Plichta szuka czegoś w gondoli swojej maszyny? — pomyślał.

Wygląd czerwonego samolotu wydał mu się jakiś dziwny.

— Co to takiego? — próbował zdać sobie sprawę z tego wrażenia, spoglądając co chwila na zegarek i obliczając przypuszczalny czas lotu.

W mroku nie dostrzegł szczegółów sylwetki samolotu, ale czuł, że jest w niej coś, czego przedtem nie zauważył. Nie mógł sobie uprzytomnić, co mianowicie tak go uderza w tej maszynie.

Wtem snop światła czyjejś latarki elektrycznej objął przód Lamersa i Grey zrozumiał: śmigło samolotu obracało się, silnik pracował na wolnych obrotach.

Grey myślał szybko. W ciągu trzech sekund przejrzał to, co w umyśle Adama Plichty dojrzało podczas kilku ostatnich godzin.

— On chce polecieć do Barrow — przemknęło mu przez głowę. — Głupiec — zginie w połowie drogi.

W tej samej chwili na skrzydłach K-6 błysnęły światła: czerwone i zielone.

— Trzeba go zatrzymać — pomyślał Grey.

Działał chyba szybciej jeszcze niż myślał. Skoczył roztrącając ludzi przed sobą.

Ale od samolotu Plichty dzieliło go z pięćdziesiąt metrów.

Zaczął biec. Grey przebył trzecią część odległości, płozy Lamersa odlepiły się od lodu. Samolot ruszył i z miejsca uniósł ogon. Dobrze nagrzany silnik ryczał na pełnym gazie.

— Trzymajcie go! — krzyczał Grey.

Wiatr i klekot siedmiu pracujących motorów zagłuszyły jego słowa.

K-6 błysnął białym światłem ogona, pomknął naprzód, odsadził się od lodu i śmignął w górę

Powrót do Barrow pięciu śmiałków z resztą załogi Junaka II zelektryzował świat

Przy huraganowym wietrze o szybkości 160 kilometrów na godzinę, wśród zupełnych ciemności nocy polarnej, w śnieżycy zamykającej pole widzenia na parę kroków, samoloty ratownicze w ciągu trzech godzin na oślep przebijały się przez burzę

„Polscy piloci tego dnia byli od dziesięciu godzin w powietrzu" — depeszował jeden z dziennikarzy do swojej redakcji „Przelecieli ponad 3.000 kilometrów w warunkach, o jakich nie mogą mieć pojęcia ludzie, którzy nie widzieli burzy śnieżnej w okolicach polarnych. Lądowali kilkakrotnie na krze lodowej, dokazując cudów zręczności i opanowania sztuki pilotażu. Wreszcie startowali dwukrotnie na przeciążonych samolotach i prowadzili je na oślep w burzy, kierując się wyłącznie według goniometrycznych sygnałów radiowych i przyrządów pokładowych.

Szczęśliwe lądowanie wszystkich pięciu maszyn po powtórnym przylocie do Barrow stanowi niesłychany rekord wytrzymałości nerwowej i zimnej krwi tych bezsprzecznie najlepszych pilotów świata. Jest bezprzykładne, nieprawdopodobne i jedyne w swoim rodzaju".

Tymczasem burza szalała.

Grey i pozostali piloci z Eskadry Orląt zgromadzili się w budynku goniometru, gdzie miejsce radiotelegrafisty zajął Skowroński i z niepokojem oczekiwali na wiadomości. Ale zarówno depesze innych radiostacji arktycznych, jak i meldunki lodołamaczów „Smok" i „Tajfun" były negatywne. Nikt nie widział i nie słyszał samolotu Lamers K-6, na którym Plichta i kapitan Pilewicz wystartowali przed pięciu godzinami z obozu rozbitków. Nikt nie otrzymał od nich wezwania przez radio. Nikt o nich nic nie wiedział.

Sztorm na morzu Beaforta musiał już objąć nie tylko miejsce, w którym znajdował się „Smok", lecz również rejon położony dalej na zachód, w pobliżu 170-go południka skąd meldował się „Tajfun" płynący teraz pełną szybkością na południe ku cieśninie Beringa.

Grey przypuszczał, a przypuszczenie to potwierdzili zgodnie wszyscy doświadczeni ludzie Północy, że również porzucony obóz rozbitków został ogarnięty burzą.

W tych warunkach nie można było myśleć o jakiejkolwiek akcji lotniczej, tym bardziej że radiostacja s-s „Smoka" przestała odpowiadać na sygnały i zapytania z Barrow, co nie wróżyło nic dobrego. Poszukiwania zaginionych były niemożliwe: burza, ciemności i śnieżyca przykryły ziemię i morze nieprzeniknioną zasłoną...

Chłodny rozsądek nie pozostawiał właściwie żadnych wątpliwości co do losu, jaki spotkał załogę K-6 Mieli benzyny na 3 godziny lotu. Przy szybkości 250 kilometrów na godzinę, którą ich samolot mógł rozwinąć, dawało to zasięg ponad siedemset kilometrowy, ale wiatr, który początkowo dął z szybkością 100 kilometrów, wkrótce potem wzrósł do 160. Tym sposobem w najszczęśliwszym wypadku mogli byli dotrzeć do „Smoka", o którego pozycję Plichta wypytywał szczegółowo Skowrońskiego, a który znajdował się wówczas mniej więcej o 430 kilometrów od miejsca ich startu.

Ale depesza ze „Smoka", wysłana dokładnie w trzy godziny po starcie Plichty z obozu, brzmiała aż nadto wyraźnie:

„Radiogoniometr Barrow. Nie mamy żadnych wiadomości o samolocie Lamers K-6 z Junaka II ani o jego załodze. Żaden samolot w ciągu ostatnich trzech godzin nie został zauważony z pokładu s-s „Smok". Nie możemy tu dłużej pozostawać z powodu nadciągającej burzy. Odpływamy w kierunku południowym. Kurs na Cap Sabine.

Góralczyk, kpt. żegl. wielkiej
K-dant s-s „Smok"

Czekali jeszcze dwie godziny, bezskutecznie usiłując nawiązać ponownie łączność radiową z lodołamaczem. Wreszcie zmęczenie zwyciężyło: usnęli, siedząc na twardych ławach pod ścianami, za którymi huczał, wył i piekli się wicher

---

Burza śnieżna szalała jeszcze w ciągu trzech dni nie tracąc ze swej siły. Dopiero na czwarty dzień wiatr osłabł i niebo zaczęło się wypogadzać.

Panowało przygnębienie. Resztki nadziei na ocalenie Plichty i Pilewicza, jakie jeszcze istniały podczas pierwszych godzin po wylądowaniu ekipy Greya, rozwiały się w czasie tego trzydniowego sztormu.

To przecież on leci! — wykrztusił Kramer

Stałe lody na olbrzymiej przestrzeni półtora miliona kilometrów kwadratowych między sto trzydziestym a sto osiemdziesiątym stopniem długości zachodniej i siedemdziesiątym a osiemdziesiątym stopniem szerokości północnej (jak przypuszczano) — zostały skruszone przez orkan lub spiętrzone w całe masywy gór lodowych.

Nie do pomyślenia więc było, aby jakikolwiek samolot, nawet wylądowawszy szczęśliwie, nie uległ zniszczeniu, a jego załoga — śmierci wśród ścierających się brył i pękających pól lodowych.

Sytuacja do tego stopnia nie pozostawiała żadnych wątpliwości, że zarówno dyrekcja fabryk Koszuta, jak Towarzystwo Polskich Linii Lotniczo-Komunikacyjnych i inni właściciele samolotów ratowniczych zwrócili się do polskich załóg z żądanem zaprzestania poszukiwań. Również rządy Kanady i ZSRR odwołały swoich lotników z Barrow. Tylko Greyowi pozostawiono swobodę decyzji, ale i on stracił już wszelką nadzieję.

Grey patrzył na ten ruch bezczynnie, chodząc tam i z powrotem przed budynkiem goniometru i spoglądając na morze jeszcze wzburzone i ciskające na stromy brzeg drobną krę, która tworzyła wielkie hałdy osypujące się raz po raz z charakterystycznym szklistym szelestem. Czekał na odlot Wireckiego, Zakrzewskiego i Bielaka, oraz Szczerbińskiego.

Piloci napełniali już zbiorniki i krzątali się koło samolotów wyciągniętych przed hangar. Tylko Kramer oświadczył, że zostaje w Barrow z Greyem. Nic go nie wiązało teraz i nie myślał jeszcze o żadnej nowej awanturze. Nie wiedział właściwie, co ma dalej ze sobą począć. Był tak przygnębiony, że nic go nie obchodziło, co postanowili inni.

Stał pod ścianą goniometru i patrzył na obłoki sunące na zachód po niebie oświetlonym w południowej stronie promieniami słońca, niewidocznego za linią horyzontu.

Wtem daleko, nad mglistym zarysem brzegu morskiego, dojrzał ciemny punkt.

— Samolot — stwierdził i śledził go wzrokiem myśląc zresztą o czym innym.

Maszyna zbliżała się wolno lecąc pod wiatr. Dopiero po kilku minutach można było rozróżnić charakterystyczne cechy jej sylwetki.

Kramer wciąż jeszcze raczej mechanicznie i podświadomie zdawał sobie sprawę z tych szczegółów:

— Górnopłat. Pewnie dwuosobowy, szybkość ze 230 na godzinę. Podwozie wysokie, uniwersalne: na pływaki lub na płozy.

— Co to za samolot? — zapytał znajomego mechanika, który wybiegł śpiesznie z goniometru nie zamykając nawet drzwi za sobą i wpadł na niego, omal nie zbijając go z nóg.

— Gdzie jest kapitan Grey?!—wrzasnął tamten na całe gardło, wywijając kartką papieru.

— Nie drzyj się pan. Grey jest tam — wskazał ruchem głowy. — Pytałem o tę maszynę...

Mechanik rzucił mu spojrzenie tak pełne nie usprawiedliwionego oburzenia, że Kramer powtórnie wzruszył ramionami.

— Co panu jest? — zapytał.

Ale mechanik już pędził do Greya, który właśnie ukazał się zza węgła budynku.

— Kapitanie Grey! — krzyczał — Depesza!

Kramer podszedł bliżej Grey rozłożył ćwiartkę papieru, przebiegł szybko tekst i z wysiłkiem powiedział:

— Plichta... Słuchaj. Plichta...

— Co? — rzucił się Kramer.

Litery skakały mu przed oczyma Czytał nie rozumiejąc; wracał do początku i czytał znowu, podczas gdy Grey ściskał go za ramię dysząc ciężko.

Depesza datowana była z Sabine — Thetis and Corwin Coal Mines, 22 grudnia:

„Dziewiętnastego grudnia o godzinie 21.30 straciłem antenę wskutek zaczepienia o nią podwoziem przez samolot Lamers K-6 lądujący obok mnie na lodach. Stop. Załoga samolotu: pilot Adam Plichta. Stop. Kapitan Aleksander Pilewicz. Stop. Samolot wziąłem na pokład. Stop. Z powodu uszkodzenia masztu i radiostacji nie mogłem wcześniej zawiadomić. Stop. Dziś, 22 grudnia, o godzinie 9.10 załoga odleciała w kierunku Barrow. Stop. Proszę zawiadomić czy wylądowali. Stop.

Góralczyk, kpt. żegl. wielkiej
Komendant s/s „Smok"

— No? — powiedział wreszcie Jerzy Grey z błyszczącymi oczyma.

— To on przecież leci — wykrztusił Kramer.

Czerwony jednopłat kładł się w głęboki skręt tuż nad ich głowami. Zza odsuniętej szyby wyjrzała świeżo ogolona roześmiana twarz Adasia Plichty.

KONIEC

Sport MŁODYCH

Prezentujemy „dziewięciobiegi"

Gra — zabawa „Dziewięciobiegi" kol. Trojanowskiego Leszka, który zajął drugie miejsce w naszym konkursie, wygląda następująco:

„Do gry tej wybieramy boisko piłkarskie, piłkę lub tp., poczem znaczymy linię o długości 50 m. Na środku linii oznaczamy punkt, dzielący tę linię na dwie części (po 25 m). Na obu końcach linii przeprowadzamy po jednej linii poprzecznej o jednakowej długości (10 m).

W grze biorą udział, dwie drużyny składające się z 9 zawodników. W sumie w grze bierze udział 18 chłopców lub dziewcząt. Drużyny ustawiają się wzdłuż poprzecznych linii dziesięciometrowych. W punkcie środkowym kładziemy piłkę (najlepiej piłka do siatkówki). W miejscach przecięcia się linii głównej z poprzeczną, drużyny ustawiają jednego zawodnika. Na znak sędziego lub prowadzącego grę obaj zawodnicy z przeciwnych drużyn zrywają się i biegną wzdłuż linii w kierunku piłki. Ten z zawodników, który pierwszy przybiegnie do piłki, chwyta ją i natychmiast rzuca w przeciwnika (chodzi o to aby przeciwnik nie zbiegł, a gonić go wolno tylko 4 kroki). Jeżeli trafi (skuje go) uzyskuje 2 punkty dla swej drużyny. Jeżeli natomiast dotknie piłkę nogą, odepchnie przeciwnika, lub nie trafi go, traci 2 punkty na korzyść zespołu przeciwnika.

Jeśli zawodnikowi wypadnie piłka z rąk, po raz drugi rzucać mu nie wolno i traci wówczas 2

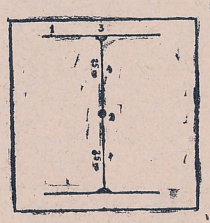

punkty, które przechodzą na korzyść drużyny przeciwnika. W wypadku, gdy jeden z biegnących specjalnie celowo opóźnia się, sędzia bieg powtarza, a za trzecim razem bieg przerywa i gracz ten traci 2 punkty. Złapaniem piłki w ręce rzuconej przez zwycięzcę, gracz też nie będzie uratowany.

Zawodnicy, którzy wykonali już bieg odchodzą na bok i nie biorą udziału w następnej gonitwie, biegną natomiast następne pary. Powtarza się to 9 razy. Zwycięstwo odnosi ta drużyna, która we wszystkich gonitwach zdobyła więcej punktów.

Co kto wygrał?

II — III i IV-te nagrody (łuk ze strzałami) otrzymują:
Leszek TROJANOWSKI, Warszawa, Okęcie Zbarz 1 za grę pn. „Dziewięciobiegi".
Ireneusz ZALEWSKI, Anin k.Warszawy Parkowa 7 m. 2 za grę pn. „Rzędówka".
Jerzy KOTKOWSKI, Ostróda, Jaracza 11 za grę pn. „WIEŻA".
V i VI-tą (komplet ping - ponga) otrzymują:
Leszek SCHREIBER Poznań, Przybyszewskiego 17 m. 6.
Karol BEDNARSKII Borzymów, gm. Oleśnica, pow. Busko Zdrój.
VII-ą nagrodę (czepek i slipy pływackie):
Marceli KORNOWSKI, Gdynia, Cyhlońska 93-12.
Pięć nagród książkowych zdobyli:
Andrzej GLAPA, Wrocław, Wiapenna 19. Wacław WOJCIECHOWSKI, Godaszewice, gm. Łazisko, Woj. łódzkie, Ryszard LICHOWSKI, Koszalin, Chopina 35, Wiesława ŚWIERCZYŃSKA, Środa Śląska, Łanowa 2, Lutosław CHANASTERSKI, Legnica, Kazimierza Wielkiego 25 m. 2.

...To także święto sportu

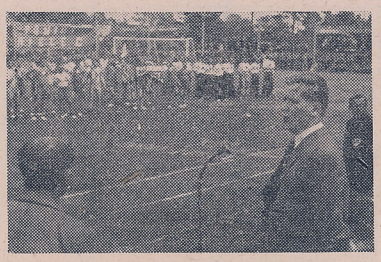

Dyr. GUKF, L. MOTYKA wita uczestników Olimpiady Chłopskiej
Foto R. BYLICKI

Dzień 22 lipca, dzień Odrodzenia Polski, święto powstania PKWN jest niezwykle uroczyście obchodzone również przez cały sport polski.

Równolegle z rozwojem życia kulturalnego, z odbudową i rozbudową kraju, i rekordami robotników rozwija się i potężnieje sport Polski Ludowej. Nasz ludowy Rząd docenia znaczenie wychowania fizycznego i sportu; kultura fizyczna cieszy się poparciem i opieką partii politycznych i organizacji młodzieżowych.

Sport przestał być rozrywką uprzywilejowanych, stał się jednym z głównych czynników wychowania naszej młodzieży, stał się bronią w walce o zdrowie i tężyznę fizyczną młodzieży i rzesz pracujących.

Następuje reorganizacja naszego sportu. Związki Zawodowe, Odrodzone Wojsko Polskie, szkoły, przejmują na swych odcinkach opiekę nad sportem. Nic dziwnego, że w takich warunkach prędko doczekaliśmy się sukcesu. A sukcesem były Igrzyska Związków Zawodowych, Biegi Narodowe, Sztafeta — gigant ZMP, Igrzyska szkolne, marsze szlakami zwycięstwa. We wszystkich tych imprezach brały udział setki tysięcy sportowców. Setki tysięcy uczniów, robotników i chłopów manifestowało swą tężyznę fizyczną.

Teraz w oparciu o masy ludowe, w oparciu o wychowaną sportowo młodzież, sport polski będzie mógł spokojnie myśleć o dalszych swych losach. To, że jak grzyby po deszczu wyrastają coraz to nowe stadiony i boiska, że poraz pierwszy w historii naszego sportu chłopak czy dziewczyna wiejska ujęła w Brzeźnicy dysk lub oszep, że setki tysięcy młodzieży, robotników i inteligentów pracujących przemierzało w sztafetach i marszach polskie drogi, że walczymy o zdrowego i silnego obywatela — to sport polski zawdzięcza wielkiemu Manifestowi.

I cały sport polski potrafi godnie uczcić dzień 22 lipca.

Na froncie KKS

Projekt kol. Gerharda o utworzeniu klubu Korespondentów Sportowych, nie pozostaje bez echa. Otrzymaliśmy wiele listów. Dwa zawierały już wstępne prace korespondenta sportowego. Jedną z nich kol. Pęgiela drukujemy obok. Niezmiernie interesujący list nadesłał nam kol. Kwiatkowski z Łodzi. Opowiadając się (jak zresztą wszyscy) za utworzeniem KKS podaje on jednocześnie zadania i obowiązki, które zdaniem jego ciążyć będą na korespondencie sportowym. Kol. Kwiatkowski pisze:

„W niektórych miejscowościach sport szkolny nie zawsze wywiązuje się ze swych zadań. Wtedy właśnie otwiera się pole do popisu przed terenowym sprawozdawcą. Nadsyła on swoje spostrzeżenia, w których wskazuje przyczyny złego stanu i podaje ewentualne wskazówki. Korzyść, jaką odniesie ort szkolny i harcerski z założenia KKS będzie duża".

W następnym numerze zajmiemy się omówieniem całości otrzymanych listów i... najprawdopodobniej zorganizowaniem KKS

HUMOR

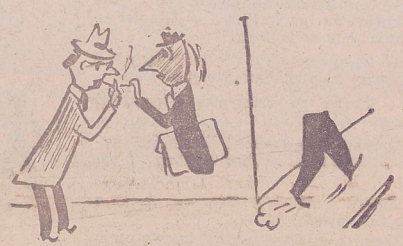

Prosze szybciej! Bo sie spiesze...

ROZWIĄZANIE KONKURSU

Nasz pierwszy konkurs sportowy na grę lub zabawę wywołał bardzo duże zainteresowanie. Niestety, stwierdzić musimy z żalem, że do pewnego stopnia nie zrozumieliśmy się. Chodziło nam o grę zupełnie nową, wprowadzającą nowe elementy zabawy, otrzymaliśmy zaś 176 listów, z których większość zawierała projekty gier opartych na dobrze nam już znanych zasadach. Były tam więc połączenia siatkówki z koszykówką, szczypiorniaka z... tenisem, była wreszcie jedna odpowiedź omawiająca poprostu... piłkę nożną.

Nie o to, nam chodziło. Wielu z Was umiało się jednak pokusić o nowe koncepcje. te jednak dotyczyły nie tyle gier co zabaw, co zresztą jeszcze bardziej nas cieszy.

W tej sytuacji jury konkursowe postanowiło pierwszej nagrody nie przyznawać nikomu. Najlepszą ocenę spośród pozostałych prac a zarazem II-gie miejsce dostała gra — zabawa pod nazwą „Dziewięciobiegi", której autorem jest kol. Trojanowski z Warszawy. Pomysł „Dziewięciobiegów" jest prosty nieskomplikowany, nie zawiera jakichś zawiłych reguł a przy tym łączy wiele pożytecznych rzeczy. Możecie to zresztą ocenić sami, pracę tę bowiem zamieszczamy obok.

A teraz nieco statystyki:

Do redakcji napłynęło 176 prac, z tego 158 było dziełem chłopców, zaś 18 dziewcząt Wśród nagrodzonych znalazła się właśnie jedna gra kol. Świerczyńskiej.

Stosunkowo najlepszymi okazały się te odpowiedzi, które wpłynęły w późniejszym nieco terminie. Z 176 wybrano 37, nad którymi obradowało jury konkursowe. Najwięcej listów nadesłał Dolny Śląsk przed Warszawą i Łodzią.

Ćwiczenia gimnastyki

Ćwiczenie 4. Siad skrzyżny i skłony głowy w przód i w tył. Na 1 — skłon głowy w przód, na 2 — skłon w

tył itd. W siadzie kręgosłup musi być wyprostowany, łuków zaś lekko odchylony do tyłu.

Ćwiczenie 5. Rozkrok. Ramiona wzdłuż ciała i skłony boczne w lewo i w prawo. Na 1 — skłon

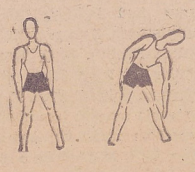

w lewo, na 2 — wyprost, na 3 — skłon w prawo, na 4 — wyprost. Nogi w kolanach wyprostowane. Nie pochylać się do przodu.

UWAGA

Przypominamy Komendantom Grup Obozowych, że PEŁNĄ NALEŻNOŚĆ za otrzymane na obozach egzemplarze „Świata Młodych" i „Biuletynu Instruktorskiego ZHP" należy wpłacać na konto PKO I-707 — Centralny Kolportaż „Czytelnika".

REDAKTOR SPORTOWY ODPOWIADA

Kol. ŚWIOSTEK M., IŁŻA. Ogólne zasady gry w tenisa, postaramy się podać Ci w jednym z najbliższych numerów (o ile oczywiście pozwoli nam miejsce).

Kol. WERNICKI, CIECHANÓW. Historyjka nie dla nas.

Kol. PTASZKOWSKI, OŚWIĘCIM. Wiersz pt. „Mecz" zatrzymujemy. Może nadeślesz nam coś innego, nad czym bardziej popracujesz.

Kol. MIELNICKI, BRZEG. Limity górne poszczególnych wag w boksie przedstawiają się następująco: musza — 51 kg, kogucia — 54 kg, piórkowa — 58 kg. Lekka — 62 kg, półśrednia — 67 kg, średnia — 73 kg, półciężka — 80 kg, ciężka od 80 kg wzwyż.

Kol. TOKARSKI, KRAKÓW. O ile nam wiadomo, książka taka jeszcze nie wyszła, znajduje się natomiast w opracowaniu. Jeżeli uda się nam spotkać coś z tej dziedziny, postaramy się zawiadomić Cię.

TYGODNIK ZWIĄZKU HARCERSTWA POLSKIEGO

Świat MŁODYCH

Wydaje Sp. Wyd.-Ośw. »CZYTELNIK«

REDAGUJE: zespół.

ADRES REDAKCJI: Warszawa, Dworkowa 1/3, tel.: 432-57, 432-58.
ADRES ADMINISTRACJI: (dział prenumeraty): Warszawa, pl. Trzech Krzyży 16, tel. 810-26.
ZŁOŻONO w Zakł. Graficznych „RSW" Prasa — Smolna 12.
DRUK: Sp. Wyd.-Ośw. „CZYTELNIK", Druk. Nr 2, Marszałkowska 3/5.
WARUNKI PRENUMERATY: Cena egzemplarza 10 złotych w prenumeracie miesięcznej 35 zł, kwartalnej 100 zł. Prenumeratę zamawiać przekazem PKO — wpłacać na konto czekowe PKO I-8001 „Świat Młodych".
Listonosze i urzędy pocztowe w całym kraju przyjmują w terminie do 20 każdego miesiąca wpłaty na tzw. prenumeratę zleconą, przy którym to systemie odpada wypisywanie przekazów i zamówień oraz unika się opłat pocztowych za przekazywanie pieniędzy i za ewentualne reklamacje.

B-81453